Nr. 38. Lwów — Piątek dnia 15 Lutego. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „

Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKOW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Faustyna, Symeona i An. | Jutro: św. Julianny, Izydora
Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**
Wschód słońca g. 7 m. 15 | Zachód „ „ 5 „ 15
Długość dnia g. 10 m. 0 | Przybyło dnia od wczoraj m. 4

Przegląd polityczny.

Lwów 14 lutego.

Cesarz niemiecki ma w tym roku upodobanie do profesorstwa, ale zdaje się, że celem jego nie „bezstronna nauka,“ lecz praktyczne korzyści. Niedawno zaprosił do Poczdamu kilkunastu wybitnych parlamentarzystów i przez dwie godziny wykładał im o znaczeniu marynarki, potem ugościł ich skromnym podwieczorkiem i odesłał do Berlina. W zeszły piątek powtórzył to samo, ale na większą skalę: w sali akademii wojennej, przed licznem zgromadzeniem jenerałów, admirałów i oficerów sztabu głównego wykładał z katedry o wojnie chińsko-japońskiej. Na ścianie wisiały mapy geograficzne, sporządzone pod okiem prelegenta; na stole ustawione były modele różnego rodzaju okrętów wojennych i modele twierdz chińskich zdobytych przez Japończyków. Cesarz, z długą laską w ręku, szczegółowo opowiadał wszystkie marsze i kontrmarsze wojsk nieprzyjacielskich, wszystkie wypadki od samego początku wojny, każdą bitwę opisał moment za momentem, posługując się przytem to laską, to małemi chorągiewkami na szpilkach, które wtykał na mapie tam, gdzie mu było potrzeba. Dowiódł tym wykładem, że zna tę wojnę tak, jak może nikt inny w Europie. A potem sformułował wniosek, że w przyszłych wojnach armia lądowa i marynarka będą wykonywały wspólny plan kampanii. Jest to właśnie japoński dodatek do strategicznej sztuki, dodatek teoretycznie rozważany już dawniej, ale w praktyce mistrzowsko zastosowany dopiero teraz przez Japończyków, czem też w sporej mierze tłómaczą się ich świetne sukcesa. Wynika z tego, że się zwiększa rola marynarki; już ona nie służy wyłącznie do obrony brzegów i do utarczek z nieprzyjacielską flotą, lecz jeszcze bierze bezpośredni i bardzo ważny udział w operacyach wojsk lądowych, jako ich część organiczna. Samodzielnie działa na morzu tylko o tyle, o ile to nieodbicie potrzeba, lecz celu swego nie widzi w staczaniu bitew z flotą przeciwnika; głównem jej zadaniem operować wspólnie z armią lądową, ułatwiać jej szybkie przerzucanie się z miejsca na miejsce i wygrywanie bojów. Stała się ona tedy jakby nowym gatunkiem broni, pożytecznej na lądzie. Dotychczas marynarka i armia lądowa stanowiły dwa odrębne światy; jeden z nich mógł być wielki, drugi mały — i nie widziano w tem żadnej niewłaściwości. Teraz w pewnych wypadkach, to jest przy odpowiednim terenie działań wojennych, trzeba będzie tak samo regulować stosunkowe siły morskie i lądowe, jak się dotąd regulowało siłę artyleryi do siły piechoty i obie je do kawaleryi. Ważne to oczywiście dla państw, mających długie brzegi morskie, bo w takich razach atakujący nieprzyjaciel najpewniej rozwinie swą akcyę na pomorzu. Wtedy będzie wspólny plan operacyjny dla sił lądowych i morskich i wspólna naczelna komenda, t. j. właśnie tak, jak się urządzili Japończycy, którzy zarazem w tej nowej taktyce okazali po prostu zdumiewającą dokładność. Ani przeciwne wiatry, ani morze niespokojne lub zamglone, ani burze nie przeszkodziły im zawsze wykonać każdego zamiaru z punktualnością nadzwyczajną: na oznaczoną chwilę zjawiały się zawsze równocześnie w obranym punkcie okręta wojenne i dywizye lądowe. Zrobiły te siły, co do nich należało według planu naczelnej komendy, i zaraz potem się rozdzielały, znikały sobie z oczu, aby na innym punkcie znowu się zejść jednocześnie. Nigdzie straty czasu, mitręgi, zawodu, a w rezultacie zwycięstwa. Jest to wielkie udoskonalenie taktyki Moltkego, który ze sztuki wojennej zrobił naukę tak ścisłą, jak matematyka. Jednak i dla sztuki, dla talentu pozostaje piękne pole, ale już tylko podczas samych bojów, kiedy improwizacye dowódców są nieraz konieczne.

To był wniosek ogólny, wyciągnięty przez cesarza-profesora z wojny chińsko-japońskiej. Ale był także wniosek szczegółowy. Oto, od lat kilku zapanowała w marynarkach europejskich teorya, że ciężkie pancerniki są niezawodnie potrzebne, jak twierdze na lądzie, ale nie powinno ich być za wiele, bo czynią eskadrę zanadto ociężałą w ruchach; natomiast powinno być dużo zwinnych a dobrze uzbrojonych krzyżowników, które są niby kawalerzystami na morzu. Zgodnie z tą teoryą, wszystkie floty europejskie poczęły kłaść silny nacisk na krzyżowniki; one się stały benjaminkami marynarek wojennych. Tymczasem, wszystkie potyczki morskie Chińczyków z Japończykami wykazały ważne znaczenie wielkich pancerników, one bowiem każdy bój rozstrzygały i od nich zależał cały przebieg potyczki, cała jej fizyognomia; one były osią każdego boju. — Prelegent zakończył wiadomością, że patryotyczny Krupp wniósł podanie, aby mu wolno było zbudować dla Niemiec pancerniki bez żadnego zysku, t. j. że państwo pokryje tylko rzeczywiste koszta budowy.

Nie wiemy, czy ta wiadomość zachwyci parlament, który widocznie będzie musiał asygnować pieniądze na takie uzupełnienie niemieckiej floty, jakie potrzebnem się okazało z doświadczeń zdobytych wojną chińsko-japońską. Ale militarne audytoryum, zgromadzone na cesarskim wykładzie, o to się nie troszczyło. Ono na zaproszenie prelegenta przeszło z auli do sali jadalnej i tam przy piwie i butterbrodach gawędziło od 9-tej do 11-tej wieczorem, ugaszczane przez cesarza i brata jego Henryka.

Zapewne we wszystkich państwach, w warsztatach marynarki wojennej, rychło zawrze robota. Pierwszy to wypadek, że daleka Azya czegoś nauczyła Europejczyków, a już to wprowadza Japonię w grono państw cywilizowanych.

Doniesienie angielskich liberalnych dzienników o mobilizacyi tureckiej rezerwy, chociaż wszędzie uznano za podejrzane, sprawiło jednak pewne wrażenie, głównie dlatego, że podsekretarz stanu w angielskiem ministeryum spraw zagranicznych p. Grey oświadczył, iż aktów dotyczących sprawy ormiańskiej przedstawić parlamentowi nie może, bo kwestya przedstawia się bardzo poważnie, a właśnie jest teraz w pełnym biegu, więc publikacya aktów byłaby szkodliwa. Dodał prócz tego p. Grey, że Porta zabroniła wpuszczać do Azyi Mniejszej korespondentów dziennikarskich aż do ukończenia śledztwa, prowadzonego teraz przez komisyę. Z tego oświadczenia i z wiadomości o mobilizacyi rezerwy wysnuto zatem wniosek, że położenie rzeczy w Armenii jest bardzo naprężone i choć trudno przypuszczać, aby Rosya zamierzała przeprowadzić okupacyę nadgranicznych tureckich okolic, to jednak możliwe jest zbrojne powstanie w całej Armenii i w prowincyach sąsiednich, z czego po jakimś czasie mogą się wytworzyć zawikłania na dość wielką skalę. A ponieważ kwestya wschodnia ma dwa końce: jeden na Bałkanie, a drugi w górach araracklch — przeto tu czy tam zawsze może powstać to wieczne widmo sprawy wschodniej, które posiada specyalną właściwość gmatwania dyplomatycznych stosunków. To właśnie jest powodem pewnego wrażenia, jakie wywołała londyńska wiadomość o zbrojeniu się Turcyi. Jeszcze nie wiadomo, czy prawdziwe jest to doniesienie; Porta nie przeczy i nie potwierdza, co daje do myślenia. Natomiast urzędowy telegram z Konstantynopola oznajmił, iż sułtan polecił Ormianinowi i znanemu mężowi stanu tureckiemu Karatheodory-baszy opracować organiczny statut dla Armenii, jako prowincyi samorządnej. Z tego również można sądzić, że w tym kraju krucho z Turkami. Takeśmy nawykli do tego, że wojny wszyscy najgorliwiej unikają i że ona w całej Europie, wśród wszystkich warstw, byłaby niezmiernie niepopularna, iż nie możemy przypuścić wojennych zawikłań z powodu Armenii; raczej Turcya będzie przez mocarstwa zmuszona do nadania tej prowincyi samorządu i tak się załatwi ta sprawa.

Z Chrystyanii donoszą, że król szwedzko-norwezki wyczerpał wszystkie sposoby załatwienia przesilenia gabinetowego w Norwegii i nie zdołał złożyć nowego ministeryum. Zdecydował się tedy na ostatni środek ugodowy, którego odrzucenie przez radykalną większość storthingu będzie znaczyło tyle, co zerwanie unii z Szwecyą. Mianowicie król wezwał prezydenta storthingu pana Sieverta Nielsena i oświadczył mu, że niech większość sama wybierze gabinet, a król każdy zatwierdzi, wszelako pod warunkiem, że ten gabinet wejdzie z szwedzkiem ministeryum w układy co do przyszłej organizacyi konsulatów, a tak zawarty układ będzie następnie zatwierdzony przez szwedzko-norwezką radę stanu. Jedynie na takie załatwienie sprawy król przystaje, a nigdy się nie zgodzi na zadecydowanie o niej wyłącznie przez norwezki storthing. Jeśli tej ostatniej propozycyi większość nie przyjmie, to król wyjedzie z Chrystyanii, a wtedy odpowiedzialność za wszystkie następstwa spadnie na Norwegię.

Korespondencye.

Wiedeń 10 lutego.

Komedye niemieckie mają zasłużoną w całej Europie sławę wielkiej naiwności i większych jeszcze nudów. Gdyby nie talent niezaprzeczony aranżerów różnych hec antipolskich w cesarstwie niemieckiem, gdyby nie głośne nieraz projekty najdziwaczniejszej treści, jak monopole zbożowe, sprowadzanie Chińczyków lub murzynów na miejsce polskich robotników, to moglibyśmy uwierzyć, że nasi sąsiedzi nic a nic nie rozumieją się na intrydze i że Bismark stworzył zjednoczone cesarstwo ze samych pierwowzorów sielanek Gessnerowskich.

Tak jednak nie jest. Co dzień odkrywamy nową żyłkę do robienia fars na wielką i mniejszą skalę, bacznie przypatrując się życiu niemieckiemu w polityce, handlu, w ekonomicznej jego wytwórczości. Artystami — co prawda — ci komedyanci nie są, ale bo też wielkiej nie potrzeba sztuki przed parterem bardzo nie krytycznym.

Gdybym przytaczać chciał sądy co dzień tu słyszane o powołaniu kultury niemieckiej i o ucisku Niemców na Szląsku, w Morawie, Czechach, na Bukowinie i w krajach alpejskich, o upadku rzekomym starej, jedynie zbawiennej polityki centralistycznej, o rozpaczliwem położeniu fabrykanta niemieckiego, którego „agraryusze“ węgierscy i polscy „zdławili“, to starczyłoby, sądzę, czytelnikowi do litośnego uśmiechu na długie, długie czasy. Kto te wyobrażenia szerzy? Oczywiście tacy publicyści i politycy, co nie mogąc zdobyć się na tyle fantazyi, aby wystawić komedyę w teatrze Rajmunda, lub Carla, dorabiają się tantyem farsami na szpaltach dzienników ogłaszanemi, lub deklamowanemi na zgromadzeniach różnych wyborców, albo choć „kandydatów na wyborców“. Powtarzam „kandydatów“, bo ten nowo utworzony gatunek krytyków działalności publicznej od czasu nieudałego przedłożenia hr. Taaffego coraz większemi cieszy się względami różnych „artystów“.

Nie piszę tu jednak o polityce i jej drobnych codziennych fluktuacyach — ograniczę się na skreśleniu jednej z ostatnich, w poważnym stylu wystawionych komedyi. Chodzi o pożyczkę na regulacyę waluty. Osią akcyi dramatycznej jest kwota 67 milionów reńskich w złocie — rzeczywiście nerw sceniczny nie lada jaki i godny jakiegoś naddunajskiego Scribego. Wylano też już niejedną „szklankę — wody“, przepraszam: „atramentu“, na rozgmatwanie węzła zadzierzgniętego przez tę pożyczkę.

W grudniu, roku zeszłego, zaczęła się ekspozycya — ale z góry muszę oświadczyć, że zupełnie bez humoru. Pewnego poranka, przypuśćmy, że to było 19go grudnia, mile zostałem zdziwiony artykułem najpoważniejszego tu w kwestyach ekonomicznych pisma p. tyt.: *Der Zinsfuss der Goldrente*. Autor zapowiadał wedle informacyi bardzo pewnej, że minister finansów chce pożyczyć 67 milionów reńskich złotem, że do tej pożyczki w najbliższym czasie zniewolony już będzie i że wskutek tego narzuca się kwestya, jaki będzie typ procentowy nowej pożyczki.

Najpierw muszę dokładnie stan rzeczy przedstawić:

Pożyczkę ostatnią (w marcu 1893) wydano w Berlinie po kursie 97 prc. Dziś renta złota przy kursie 126·20 reńskich, przedstawia wartość 101·86 reńskich w złocie. Nie potrzeba było nawet ani jednego roku, aby wartość jej o dwa niemal procent przewyższyła kurs nominalny. To podskoczenie renty o blisko 5 proc. w tak krótkim czasie mogłoby być wskazówką, że państwo za wiele płaci za swoje długi i że wydawanie nowych, niżej oprocentowanych rent, nie napotka na wielkie trudności. Minister finansów nową zaciągając pożyczkę musi jednak liczyć się z usposobieniem targu i z warunkami, jakie stawiają banki pośredniczące.

Gdyby dziś pożyczyć chciał 67 milionów po 3 i pół prc., to rywalizować musi z jednem z najbogatszych państw, ze Stanami Zjednoczonemi, które właśnie zaciągają pożyczkę 65 milionów dolarów po 3¼ prc. i połowę z tej sumy w złocie ściągają z Europy. Minister Plener nie może płacić mniej od Stanów Zjednoczonych za pożyczkę tej samej natury. Ameryka otrzymuje pełną sumę pożyczki za 3¾ proc., — Austrya płacąc tylko 3 i pół proc. otrzymać mogłaby w najpomyślniejszym razie o tyle mniej gotówki, ile na ćwierć procent wypada, a więc za 100 zł. tylko 93·4 reńskich.

Tego jednak nie dostanie — a choćby nawet otrzymała 93 za 100, to obarczyłaby się za to długiem 71,690.000 reńskich, zamiast 67 mil. t. j. o 4,690.000 zł. większym, a w procentach rocznych wypłacałaby po 3½% od tej sumy 2,510.000 mil. podczas gdy otrzymując całą sumę 67 milionów i płacąc za nią 4% wydawałaby rocznie na oprocentowanie 2,680.000 zł. a więc przy 3½%owej pożyczce w obecnym stanie mogłaby najwyżej zaoszczędzić 170.000 zł. rocznie. Ale bardzo wątpliwem jest, czy finansiści berlińscy daliby Austryi za 100 zł. 3½%owej renty 93 zł., czy nie wytargowaliby 92 albo 91, a taki zwrot byłby dopiero porażką. Każdy procent otrzymany mniej w gotowce przedstawia bowiem przy sumie 67 milionów 670.000 zł. O tyle wzrasta dług i o tyle trzeba potem więcej oprocentowywać. Dziś, kiedy renta 4%-owa ma kurs 101·86, minister finansów tego samego typu się trzymając nietylko jest niezawisły od banków pośredniczących, ale nawet od kupujących rentę żądać może prócz pełnej gotówki pewnej premii. Jeśliby ta premia na korzyść rządu tylko ¾% wynosiła t. j. 75 centów za 100 reńskich w złocie, to państwo otrzymałoby około ½ miliona zł. i zamiast prowizyę płacić, owszem dostawałoby ją od banków.

A więc pożyczka 3½%owa jest niepewna na dziś, zaoszczędzenie przy niej w najpomyślniejszym razie wynosiłoby 170.000 zł. rocznie, w mniej pomyślnych nic, pożyczka 4%owa ma tę samą niemal wartość, a moralnie nawet większą, bo nie naraża kredytu austryackiego na niebezpieczną rywalizacyę z państwami o wiele bogatszemi, które o mało co mniej dziś płacą. Między kredytem Francyi i Anglii a Austro-Węgier zawsze musi być różnica 1 procent, jeżeli papiery austro-węgierskie kupowane być mają na zachodzie, a o to przecież głównie idzie.

Zdawałoby się, że rzecz jest jasna i że nie można się o nią spierać. Żyjemy jednak w czasie spirytyzmów, secessyonizmów, symbolizmów i innych zamgleń zdrowego rozsądku.

Tutejsi rachmistrze giełdowi nie pozwalają sobie na zbytek roztrząśnienia dokładnego sprawy, jak ja tu uczyniłem w kilku cyfrach wykazując wartość 4%owej i 3½%owej renty.

Mówi się tylko, że 4%owa renta jest droższą od 3½%owej, i że minister finansów w obronie interesów państwa zaciągnąć musi pożyczkę 3½%ową. Kiedym pierwszy raz wyczytał to w grudniu, zrazu pomyślałem, że nie ma takiego grzesznika, coby się nie poprawił i że prawdziwie rozczulającem jest takie nawrócenie się publicysty, który bronił zawsze banków aż jednego poranku począł wykrzykiwać: „państwo musi mieć tańszy kredyt!“ Jestem jednak trochę sceptycznie usposobiony.

Nie wierzę n. p. z zasady w patryotyzm ludzi żyjących z tego, co „w przedpokoju ministra finansów uchwycą“. Ale ekspozycya komedyi była pyszna! Właśnie Rosya zaciągała pożyczkę w Berlinie w kwocie 100 milionów rubli po 3½% i sprzedawała rentę rosyjską po kursie 96⅛. Uderzono w strunę najdelikatniejszą. Dlaczego Rosya ma tańszy kredyt od Austro-Węgier? Obowiązkiem ministra finansów jest korzystać z sytuacyi i stworzyć typ 3½%-wy rent dla Austryi. *Neue freie Presse* nakazała nawet swemu korespondentowi w Berlinie, aby się dowiedział, czy emisya takiej renty jest tam możliwa. Odpowiedź przyszła telegraficznie 18 grudnia. Jakiś bardzo wpływowy finansista (pewnie z domu Bleichrödera, lub Mendelsohna) *eine hervorragende Autorität der Hochfinanz* zapewnia, że minister finansów mógłby dobre warunki wytargować, jeśliby miał „wolną rękę“ przy zaciąganiu pożyczki, t. j. jeśli mógłby bez odnoszenia się do parlamentu w chwili stosownej wydać rentę 3½%, lub 3¾%, lub nawet 3%-wą. „Sukces zależeć będzie od kursu emisyjnego“, są ostatnie słowa depeszy. A więc o kurs chodzi, a nie o tańszy kredyt, o kurs chodzi, a nie o patryotyzm żaden.

Kto na to jedno słowo nie zwrócił uwagi, dlatego cały efekt komedyi zginął. Pisma zaczęły też zaraz rozbierać możliwość i niemożliwość osiągnięcia kursu tak wysokiego, jak przy rosyjskiej pożyczce. Stanęło na tem, że takich warunków nie wywalczy się. Austrya musi więcej płacić, bo złoto *in natura* ściągać będzie, Rosya obniżyła tylko procent dawniejszych pożyczek. Nie mówiono, ile Austrya ma płacić, ale łatwo przypuścić, że życzliwi berlińczycy i ich patryotyczni wspólnicy nad Dunajem zażądaliby za 90 lub 91 zł. 100. O ten kurs emisyjny chodzi. W nim leży cała „niezgłębiona miłość ojczyzny“, w nim zamyka się życzenie szczere, aby państwo płaciło odtąd tylko 3½ prct., z nim otwiera się nowy szereg operacyi, na których zarabia się miliony. Trudno o więcej uzasadniony patryotyzm. Jeśli Plener wyda rentę 4 procentową, bankierzy

---

20)

W PŁYTKIM PRĄDZIE

POWIEŚĆ

przez *Nagodę.*

(Ciąg dalszy).

Edmund, choć nikt już na niego nie nalegał, sam, z własnego popędu podjął się roli sufiera. Tola i Jela Brańska wychodziły razem, otoczone kółkiem młodzieży śmiejącem się, gwarnem.

Na zakręcie ulicy, gdzie się ich drogi dzieliły, Tola odeszła z ojcem, odprowadzona przez Zdzisława i Emila, Jeli na pociechę pozostali August i Zoro, z czego wydawała się miernie uszczęśliwiona — obydwaj oni byli w sam raz na zapełnienie pustych kątów w salonie, do spełnienia innego posłannictwa nie mieli kwalifikacyi.

— A cóż Tola... uprowadziła go jak swego? — zauważyła kwaśno matka, gdy się nareszcie znalazły same.

— Obawiam się, aby tak nie było po każdej próbie; nie potrzebnieśmy tak gwałtownie namawiały Tolę — dodała Jela, której wyraz twarzy stał się o wiele mniej ożywionym i mniej naiwnym z chwilą pożegnania znajomych.

— Ale bądź spokojna; już to Zdzisław nie zostawi jej wiele wolnego czasu; a zresztą trudno było ją wyłączać, tak czegoś weszła w modę tego roku, wszyscy mężczyźni przepadają za nią.

— Ślicznie mnie mama pociesza.

— To nic nie ma do rzeczy; Toli można asystować, a z tobą się ożenić, byleś miała trochę savoir faire... Jeszcze też z takim Emilem Jenckim!....

Ten jasny pogląd matki uspokoił i zadowolnił pannę Jelę; rzeczywiście nieśmiałość i małomówność Emila, budziła wielkie nadzieje; wyglądał on na człowieka, który da dużo za siebie powiedzieć.

XIV.

Upłynęło kilka dni — odbył się bal u państwa Drążykowskich, szumny, huczny, grzmiący przez całą noc odgłosem strzelających korków szampana i posuwistych hołubców, które wstrząsały ścianami Europejskiego hotelu. Oryginalny jakiś, dziwnie wesoły i ożywiony był ten bal. Młodzież gospodarowała tu jak u siebie, fortencer odrazu objął dozór nietylko nad tancami ale i nad winem, i z godną uznania swobodą co chwila do figur mazurowych kazał otwierać jak najbardziej zapleśniałe butelki. Pan Drążykowski dopełniał zrobionych w ten sposób szczerb nowemi zasiłkami i zacierał ręce z radości: „A to, to lubię serce! u Drążykowskiego zawsze się tak bawią“.

Pani Drążykowska tańczyła ile jej tchu stało, a ponieważ pomiędzy młodzieżą rozesłano bardzo liczne zaproszenia, więc nie była w kłopocie o danserów, tylko za każdym razem, gdy mąż przechodził koło niej, chwytała go za rękę, wypytując o nazwisko tego lub owego młodzieńca. Nie wiele było rezultatów z tego śledztwa; pan Drążykowski nie zdawał się lepiej od niej powiadomiony.

— Co ci po nazwisku serce? obywatel i koniec, ktoby ich tam wszystkich pamiętał.

I rzeczywiście w tym steku osób komuś obcemu nie łatwo było się zoryentować; krążyła nawet pogłoska, że pan Ludwik, słynący ze swych śmiałych pojedynków i jeszcze śmielszych pogadanek z paniami, znalazł się tutaj całkiem bez zaproszenia, nie zrobiwszy nawet wstępnej wizyty, ale temu on stanowczo zaprzeczał, twierdząc, że jako żywo zrobił wizytę, a raczej rzucił bilet lokajowi, i tylko dowiedziawszy się, że państwo są w domu i przyjmują, zemknął jak najprędzej, bo mu pilno było do cukierni na kieliszek koniaku z przyjaciółmi.

Panny wśród tańca zamieniały złośliwe półuśmieszki i spojrzenia, których celem była tualeta, taniec, uczesanie, słowem cała osoba Sydzi. Ale zato Zoro otoczył ją takim murem szacunku i admiracyi, wygłaszał jej nazwisko z taką emfazą, rozbijał się tak po wszystkich pokojach za jej wachlarzem, że nie trudno było odgadnąć, że „*mademoiselle Sidonie de Dalesiewicz*“ jak coraz to głośniej i z coraz to większym naciskiem powtarzał — święciła tryumf pierwszego konkurenta.

Tola powracała z tego balu białym, śnieżnym rankiem, drżąc od zimna pomimo otulającej ją miękkiej rotundy. W rękach trzymała połamany w drobne kawałki wachlarz i stos bukietów, których odurzający zapach napełniał karetę, nabawiając ją samą bólu głowy.

Jeszcze nigdy chyba nie miała takiego powodzenia, nie tańczyła, nie uśmiechała się tak wiele, jak tego wieczoru.

Było coś dziwnie pociągającego może w tej bladości, która powlekała jej rysy, cieniem otaczała szafirowe oczy, kłócąc się z jaśniejącym uśmiechem ust zawsze rumianych — może tkliwe uwielbienie, jakiem niektóre serca męzkie uderzały dla niej, rzuciło czarem na wszystkich — dość, że oczy starszych i młodszych ścigały ją z zachwytem, dobijano się o jej tance, o sposobność podania jej szklanki wody, wyszukania okrywki.

— Prześlicznie wyglądałaś dziś filletko — zagadnął ojciec zbudzony z drzemki głośniejszem stuknięciem koła o kamień — wszyscy mówili mi o tobie komplementa, tylko wiesz, uważałem, że ten... Dziewoński, jakoś się dosyć z daleka trzymał, nieprawdaż?

— On przecież nigdy nie tańczy — odrzuciła Tola, zwracając twarz ku szybie karety.

— No tak, zapewne, ale zawsze...

— Rozmawialiśmy ze sobą przez ciąg całej jednej przerwy, — to całkiem nam obojgu wystarcza.

Istotnie rozmawiali ze sobą. Edmund widząc po każdym tańcu Zdzisława zdążającego w stronę Toli, jakby go tam pociągała magnetyczna siła, nareszcie nie mógł się już pohamować i przystąpił raz do nich obojga wzburzony, drżący z irytacyi, choć uśmiechnięty zimno i grzecznie.

Rzucił Toli jakieś ironiczne pytanie głosem prawie wyzywającym, a zdziwił się i uczuł podwójnie dotknięty, gdy odpowiedziała mu tem samem echem. Chłód jej oburzył go — jakto, więc nic już nie pozostało z tych złotych promieni sympatyi, które zdawały się ich oboje wiązać na całe wieki? — nic nie pozostało, a może nawet nic nie było?

Pomimo wszystkiego przez całe pół godziny wytrwał na stanowisku, obok niej — starał się prowadzić rozmowę obojętną i naturalną, ale w ciągu tej pół godziny dotknęli tysiąca przedmiotów, zraniwszy się w każdym prawie, jakimś ukrytym kolcem, natrafiającym u nich na otwartą bliznę.

Rozeszli się ze zdwojonym żalem do świata, do życia i do samych siebie.

Emil przez cały ciąg wieczoru zdawał się wprowadzać w wykonanie słowa „ja będę panią kochać tak samo zawsze, choć nigdy już tego pani nie powiem“.

Tylko oczy jego zdradzały mimowolnie tę miłość, o której świadczyła także nieustanna opieka, jaką otaczał każdy krok Toli, gotowość pośpieszenia na jej lada skinienie — uśmiech, jaki rozpromieniał jego twarz, gdy ją widział uśmiechającą się i zaniepokojone spojrzenie, jakiem ją obejmował, gdy dostrzegł, że pomimo uśmiechów i tańca, twarzyczka jej pozostawała blada, a oczy otoczone głębokim cieniem.

Los tańca kilka razy zbliżył ich oboje i wtedy zdawało się Toli, że w tym tłumnym, zalanym światłem a jednak dla niej zimnym i ponurym salonie, robiło się jej cieplej i jaśniej, że czuła obok siebie serce uderzające tylko dla niej, tylko pragnieniem jej szczęścia, choćby z zupełnem zaparciem się własnych uczuć.

Dlaczego serce takie tylko jedno napotkać można i to wtenczas, gdy mu się nie ma czem odpłacić?

XV.

Edzio był nie w humorze; zauważyła to zarówno Tola jak i pan Czarnoliński; tylko, że ojciec zrobiwszy w duchu tę uwagę, pocieszył się myślą, że zarówno złe jak dobre humory ulegają często zmianie i oczekując tej pomyślnej zmiany, zaczął unikać dłuższej lub poufalszej pogadanki z synem, aby przypadkiem nie wpaść na tor jakich przykrych zwierzeń. Jemu samemu doskonale było na świecie i dziwił się też bardzo, gdy kto nie doznawał takiego samego zadowolnienia, a zauważywszy, że domowe kółko zaczyna posępnieć, uciekał na całe wieczory do kasyna lub teatru.

Tola pragnęła całą duszą odgadnąć powód smutku brata i przyjść mu z pomocą, ale sama drażliwa niezmiernie w swych uczuciach, bała się dotknąć go i nie wiedziała od czego zacząć rozmowę.

Nareszcie pewnego wieczoru słysząc go chodzącego tam i napowrót po pokoju, weszła z zamiarem zbadania tej tajemnicy, która pokryła chmurą jasne dotychczas czoło jej kochanego Edzia.

— Gdzie mój braciszek przebywał całe popołudnie, że powrócił taki milczący i zamyślony? — zapytała, ujmując go pod rękę i pieszczotliwie opierając głowę na jego ramieniu.

— Jeździłem z Jasiem Wrońskim do Claytona, wybierać mu siewniki i nowe pługi.

— I to ta wycieczka z wesołym Jasiem usposobiła cię tak pochmurnie?

— Myślisz, że nie? gdybyś wiedziała co mi się czasem dzieje, gdy myślę o tych pługach i żniwiarkach, o tych młynkach i młocarniach, z których turkotem żyłem się lat tyle, które badałem, rozbierałem, składałem myśląc, że mi całe życie wypadnie z ich pomocą pracować. Przyzwyczaić się można do wszystkiego i ja się też przyzwyczaiłem do biura, ale chwilami, gdy sobie przypomnę, że tam ludzie właśnie zabierają się do orki i siejby, lub do sadzenia kartofel, to aż mi pachnie świeża rola i coś się we mnie rwie na myśl, że to już nie dla mnie!

(Ciąg dalszy nastąpi).

bardzo mało, prawie nic nie zarobią, boć trudno zarobić coś na papierze, który stoi wyżej pari. Ale jeśli wydałby rentę $3\frac{1}{2}$-procentową, to można o wartość tego zupełnie nowego typu spierać się. Rząd chciałby go ocenić może 94 lub 95 za 100, a grupa finansowa oszacuje na 90—91 za 100.

Tu otwiera się pole zysków wielkich, a gdzie są zyski wielkie, w takiej ojczyźnie żyć i pracować warto! Pomyślmy, że minister otrzymałby 92 za 100, banki sprzedają $94\frac{1}{2}$ i zaraz w pierwszej chwili zarabiają jeden milion osiemset tysięcy, a jeśli papiery w kasach chowają, to na każdym procencie, o który się renta podnosi, zyskują społem 723.000. A dlaczegoż nie miałaby ta renta $3\frac{1}{2}$-procentowa dojść do al pari i nabywcom przynieść po roku lub dwóch latach 5,780.000 zysku?!

Taka sposobność nie zdarza się co dzień. Nie dziw, że trąbić zaczęto na patryotyczną nutę. Tymczasem minister Plener nie rozumie się na tej rozrzewniającej miłości ojczyzny bankierów. Z bardzo poważnego źródła rozeszła się wiadomość, że zamierza on wydać rentę 4-procentową.

Zgrozą przejęty ekonomista w *Neue freie Presse* tak dalece się zapomniał, że półbogowi swego stronnictwa, ministrowi Plenerowi, zarzuca w artykule dzisiejszym przekroczenie przysługującej mu władzy, każe mu się obawiać ponownego parlamentarnego roztrząsania kwestyi i t. d. Plener ma pełnomocnictwo zaciągnięcia pożyczki w formie 4 prc. renty, gdyby 3 i pół procentową wydawać chciał, musiałby na to otrzymać zezwolenie parlamentu. Otóż *Neue freie Presse* wmówić chce w swoich czytelników, że dlatego minister nie chce wydawać 3 i pół procentowej renty, bo nowa na ten temat dyskusya w parlamencie roznamiętniłaby stronnictwa i dałaby pochop przeciwnikom waluty do niemiłych roztrząsań, które mogłyby „rozbić klub Hohenwarta“.

To jest szczyt humorystycznego pojmowania rzeczy!

Plenerowi dostają się inne jeszcze cierpkie zarzuty. Gdyby dziś stworzył 3 i pół procentową rentę, łatwo byłoby niezadługo przeprowadzić konwersyę wszystkich złotem oprocentowanych długów (500 milionów). Państwo płaciłoby nie 20 milionów reńskich złotem rocznie, ale tylko 17 i pół miliona. Minister nie broni więc interesów państwa. Czy to prawda? Wszak renta 4 procentowa wciąż się podnosi i jeśli dojdzie do 110 dajmy na to za sto, daleko łatwiej będzie przeprowadzić konwersyę niż dziś, kiedy kapitał europejski jeszcze nie przepłaca zbyt 4 procentowej renty, i za każde obniżenie procentów drogo sobie kazałby zapłacić.

W końcu jeszcze jedną zrobić wypada uwagę. Bezsprzecznie złota potrzeba, ale czy go dziś już potrzeba? Czy nie możnaby — z prawdziwym dla państwa pożytkiem — odroczyć na pół roku, może na rok cały pożyczki i zyskać tak na procentach 1,500.000 do 2.500.000. Dlaczego tej kwestyi tak prostej żadno z pism „patryotycznych“ nie podnosi?

Paryż 7 lutego.

(W. Z.) Słynny adwokat Lachaud, przed laty dwudziestu kilku w głośnym procesie jenerała Trochu przeciw dziennikarzowi Vitu, wyrzekł do przysięgłych te słowa: „Pamiętajcie panowie, że kiedyś uczciwy historyk zastanawiając się bezstronnie nad tem, co się u nas dzieje, powie: „W tej Francyi musiało być wszystko stracone, skoro nawet sprawiedliwość była zdenerwowana“. — Racyą zupełną miał Lachaud. Już dziś z czystem sumieniem można to o Francyi powiedzieć. Kto widział szalone owacye, wyprawiane Rochefortowi, ten musiał uczuć prawdziwy żal i niesmak na takie objawy zdenerwowania tłumów i zupełnego zaniku poczucia sprawiedliwości. Kogóżto bowiem witano? Oto Rochefort'a, największego paszkwilanta, jakiego kiedykolwiek Francya wydała, człowieka, dla którego nigdy nie było nic świętego, którego zawodem było i jest jeszcze oczerniać wszystkich, którzy tylko nie chcą się zaprządz do jego rydwanu i schlebiać jego słabościom. I takiego to zawodowego oszczercę witano z uniesieniem jak tryumfatora!

Od pierwszej chwili, gdy stąpił nogą na ziemię francuską w Calais, rozpoczęły się owacye, którym już aż do samego Paryża końca nie było. Na wszystkich stacyach oczekiwały go nieprzejrzane tłumy, dziewczęta w bieli sypały mu kwiaty pod nogi, darzyły go bukietami. Wszystko to jednak było niczem w porównaniu z widokiem oszalałych niemal tłumów, jakie czekały nań w samym Paryżu, na dworcu kolei północnej. Zaniesiono go wprost na rękach do redakcyi *Intransigeant'a* gdzie przyjmował przyjaciół i liczne deputacye. Przez całą noc fala ludzka przewalała się przed lokalem redakcyjnym, krzycząc bezustannie: „Niech żyje Rochefort“, „Niech żyje amnestya“. „Niech żyje rewolucya socyalna“. Tryumfator kilkakrotnie musiał ukazywać się na balkonie, a za każdym razem wrzaski potęgowały się w sposób, którego żadne pióro opisać nie potrafi. Widząc te niebywałe demonstracye, żałowali zapewne umiarkowani republikanie, że tak pochopnie głosowali za amnestyą, która otwarła wrota największemu wrogowi wszystkiego, co jest porządne. Aby osłabić znaczenie owacyi dla Rocheforta, postanowili nawet urządzić kontrdemonstracyę, dali więc bal w ratuszu i jadącemu nań prezydentowi republiki wołali: „Niech żyje Faure“. Niefortunny był to pomysł, zmuszał bowiem mimowolnie każdego do zestawienia bladości tej owacyi z jaskrawością demonstracyi dla Rocheforta. — Rochefort, tymczasem widząc za sobą całe pospólstwo Paryża, czuje się panem położenia i zaraz nazajutrz po przybyciu ogłosił w swem piśmie artykuł, podpisany całem swem nazwiskiem, w którym zapowiada dalszą nieubłaganą walkę przeciw dzisiejszemu porządkowi. „Żałowałbym — pisze Rochefort w tym artykule — wielce tych, których zowią przedstawicielami władzy, gdyby nie zrozumieli znaczenia owacyi, jaką lud w mej osobie urządza „nieskazitelności narodowej“. Albo rządy nasze są ślepe aż do rozmiękczenia mózgu, albo dzień ten wskaże mi obowiązek wystąpienia przeciw rzezimieszkom i oszustom, chociażby zasiadali na ławach izby. Nazwano mnie miotłą, mającą dopomódz do oczyszczenia Francyi, otóż, jeśliby mi przyszło udzielać rady rządowi, to udzieliłbym mu tylko jednej: niech stanie po mojej stronie, tj. u rękojeści miotły“.

Jak widzimy, teraz dopiero rozpocznie się na dobre era skandalicznych kampanii dziennikarskich.

Równocześnie, gdy odbywały się te wstrętne manifestacye dla Rocheforta, po innych ulicach szedł wcale nieliczny orszak, odprowadzający do tumu Inwalidów na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki ostatniego marszałka Francyi, Canroberta. Wyrazu „ostatni“ nie należy wprawdzie rozumieć w tem znaczeniu, że już marszałków we Francyi nigdy więcej nie będzie, tylko, że ich obecnie nie ma. Republika nie zniosła bynajmniej godności marszałkowskiej, ale czeka z jej przyznaniem, aż któryś z jej jenerałów odniesie jakieś wiekopomne zwycięstwo, do czego, jak wiadomo, obecnie nie ma sposobności. Pogrzeb tego wojownika, który kilkanaście ostatnich lat życia spędził w spokoju, zapomniany niemal zupełnie od świata, dał również powód do różnych manifestacyi, już to przychylnych już nieprzychylnych nieboszczykowi, wznowił dawne przygasłe już nieco antagonizmy i dyskusye, bolesne dla każdego szczerego patryoty francuskiego. Dyskusya w parlamencie nad tem, czy Canrobert zasłużył na to, ażeby mu urządzić pogrzeb kosztem państwa, była prawdziwie gorąca, gdyż radykalni i socyalistyczni posłowie nie szczędzili obelg człowiekowi, który śpi już snem wiecznym i sam bronić się nie może. Wznowił też ten pogrzeb wszystkie wspomnienia epoki drugiego cesarstwa i namiętne oskarżenia osób, żyjących jeszcze i dawno już umarłych, które w tej epoce wybitną rolę odgrywały. Z żyjących jeszcze aktorów tej epoki drugiego cesarstwa, były minister Napoleona III, Emil Olivier, żyjący od lat dwudziestu w odciętym od świata zakątku St. Tropez nad morzem śródziemnem, a którego od lat kilku republikańska prasa zostawiła w spokoju, znów stał się przedmiotem namiętnych napaści dziennikarskich. Właśnie teraz bowiem p. Olivier wydał pierwszy tom swego wielkiego dzieła p. t. „Empire liberale“, nad którem pracował z górą lat dwadzieścia. Tom pierwszy stanowi tylko ogólny wstęp do wielkiego dzieła, w drugim dopiero wystąpią na scenę dwaj główni aktorzy: Napoleon III i Bismark. Autor pragnie w swem dziele udowodnić, że wojny nie pragnął ani on ani cesarz, lecz że ją Francyi narzucono.

Wypadki polityczne ostatnich czasów tak pochłaniały powszechną uwagę, że prawie niepostrzeżenie przeszedł fakt wielkiej doniosłości, a mianowicie zorganizowanie przez p. Anatola Leroy-Beaulieu ruchu poważnego, mającego paraliżować zgubną agitacyę socyalistyczną wysilającą się na coraz to nowe pomysły. W przeszłym roku utworzyli socyaliści w Paryżu rodzaj uniwersytetu wolnego, gdzie kolejno zabierają głos znakomitości partyi na konferencyach poświęconych najrozmaitszym sprawom. Uznawali wprawdzie wszyscy poważni ludzie zgubność tej propagandy, ale z kontragitacyą nie spieszono się, ograniczając się na zamieszczeniu od czasu do czasu jakiegoś artykułu w dziennikach. Dopiero p. Anatol Leroy-Beaulieu postanowił wyprowadzić społeczeństwo ze stanu tej apatyi, która zdaniem jego mocno się przyczynia do wzrostu propagandy socyalistycznej, zainicyował więc towarzystwo pod nazwą „towarzystwo obrony społeczeństwa“. Celem tego towarzystwa jest z jednej strony obrona przeciw działalności socyalistycznej, z drugiej zaś propagowanie w społeczeństwie szerszego zajęcia się sprawami publicznemi, głębszego wniknięcia w nędze współczesne i, wreszcie, większej ofiarności na drodze pełnienia swych obowiązków. Towarzystwo przeciwstawia rewolucyjnym czynnościom socyalistów — odrodzenie moralne klas wyższych i w tem widzi pierwszy krok do rozwiązania kwestyi społecznej. Jest ona zatem jedną instytucyą w duchu Le Play'a, najsławniejszego socyalisty francuskiego, wykazującego w swych dziełach, że dopóty nie będzie dobrze w społeczeństwie, dopóki nie będzie mu przywrócona religia i dopóki rodzina nie będzie umoralniona. Przed kilku dniami odbyła się pierwsza, bardzo liczna konferencya Towarzystwa, na której poruszono kilka bardzo doniosłych tematów społecznych, a odtąd co tydzień regularnie odbywać się będą dalsze konferencye.

Fakt ten czynnego wystąpienia warstw, które dotąd traktowały wszelką agitacyę publiczną z pewną pogardą, które przemawiały do społeczeństwa tylko z katedry i w ciasnem kółku stosunków osobistych, — jest wielce pocieszający.

Bardzo zajmujące daty statystyczne zebrał jeden z prawników tutejszych o skutkach, jakie wywarła we Francyi ustawa o rozwodach. Oto od wejścia w życie tej ustawy w r. 1884 liczba rozwodów stale wzrasta. W r. 1884 wynosiła 1700, w następnych dwóch latach po 4600, w r. 1887 i 1888 po 6000, w 1889 7000, a w latach 1890 i 1891 po 7500. W ciągu lat ośmiu zatem rozwiodło się we Francyi przeszło 40.000 małżeństw. W zezwalaniu na rozwód są sądy francuskie niesłychanie szczodrobliwe i na 100 wypadków w 97 zezwalają nań, natomiast w zezwalaniu tylko na separacyę małżonków robią ogromne trudności. Przeciętnie rozwodzi się we Francyi 24 małżeństw na 1000. Najliczniej zgłaszają się małżonkowie o rozwód po pięciu latach wspólnego pożycia, są jednak i tacy, którzy już po sześciu miesiącach zrzucają jarzmo małżeńskie, a nie brak także takich, którzy rozwodzą się po 50 latach wspólnego pożycia. Robotnicy najbardziej biorą rozwody, bo ze wszystkich wyroków rozwodowych przypada 42 pct. na małżeństwa robotnicze, na włościańskie zaś tylko 7 pct. Smutnym objawem jest to, że małżeństwa bezdzietne o wiele rzadziej się rozwodzą, aniżeli małżeństwa pobłogosławione liczną rodziną. Co do motywów, dla których sądy zezwalają na rozwód, to najczęściej podają żądający rozwodu małżonkowie: bicie, obelgi i niezgodność charakterów. W 7000 wypadków wydały sądy wyrok rozwodowy z powodu wiarołomstwa żony, a w 3000 z powodu wiarołomstwa męża. Przy tej ostatniej cyfrze dodaje statystyk uwagę: „Nie wiadomo, czy mężowie są cnotliwsi, czy też żony pobłażliwsze.“ Pod względem geograficznym najwięcej rozwodów przypada na miasto Paryż, bo więcej niż jedna trzecia część wszystkich rozwodów we Francyi, najmniej zaś na katolicką Bretanię. W departamencie Lozery np. w ciągu lat siedmiu wniesiono wszystkiego dziewięć próśb o rozwody. W końcu udowadnia autor cyframi, że liczba rozwodów jest mniej więcej wszędzie taka sama jak liczba samobójstw. Zbieżność to wielce charakterystyczna.

Rada miasta Lwowa.

Lwów 14 lutego.

Obradom wczorajszym w zastępstwie p. prezydenta, który jest chory, przewodniczył p. wiceprezydent **Marchwicki**. Stypendya z fundacyi miejskiej dla sierót chłopców i dziewcząt nadano: Annie Adamcównej, Honoracie Maryi Kohmanównej, Oldze Emeryce Ruckgaberównej, Helenie Olimpii Rozłuckiej, Zofii Maryi Porzyckiej, Romualdowi Michałowi Kozłowskiemu, Narcyzowi Jakóbowi Bocheńskiemu, Sewerynowi Szymonowi Jackowskiemu, Leonowi Karolowi Dołżyckiemu, Janowi Zygmuntowi Leśniakowskiemu, St. Rudolfowi Langnerowi, Albertowi Zaleskiemu.

Wykonywanie robót murarskich dla gminy m. Lwowa oddano w przedsiębiorstwo p. Janowi Krachowi na rok jeden.

Namiestnictwo lwowskie zawiadomiło przed kilku dniami prezydyum magistratu, iż garnizon lwowski ma być w jesieni b. r. powiększony o sztab dywizyjny i 3 szwadrony kawaleryi, a zarazem zapytało, czy miasto da pomieszczenie wspólne dla tych oddziałów. Na pismo to Rada uchwaliła odpowiedzieć: 1) że w mieście nie znajdują się wcale budynki przydatne na wspólne pomieszczenie sztabu i 3 szwadronów kawaleryi; 2) że rozmieszczenie tych oddziałów rozdzielnie po domach nie da się przeprowadzić; 3) że gmina m. Lwowa nie może przyjąć na siebie obowiązku budowy koszar, a szczególniej z terminem do jesieni b. r. W końcu postanowiła Rada prosić Namiestnictwo, aby swym wpływem wyjednało, by oddziały te gdzie indziej na stałe leże zostały pomieszczone.

R. dr. **Piętak** referował sprawę petycyi, którą miasto ma wnieść do Rady państwa w kwestyi zmiany ustawy o swojszczyźnie. W długim wywodzie wykazywał mówca, iż proponowana przez rząd zmiana ustawy o swojszczyźnie zwali na wielkie miasta ogromne ciężary. Miasta te jednak uznają, iż obowiązująca dotąd ustawa o swojszczyźnie jest niewystarczająca, że potworzyły się teraz w nich stosunki istotnie niemożliwe.

Np. we Lwowie na 100 mieszkańców jest aż 56 obcych. Gmina miasta Lwowa również przyznaje, że ustawa o swojszczyźnie zmienioną być powinna, ale chcąc uchronić się od nieprzewidzianych wielkich wydatków na wsparcia dla nowo przyjętych członków gminy, zamierza wnieść do Rady państwa petycyę, aby ona przedłożonego przez rząd projektu zmiany ustawy o swojszczyźnie dopóty nie uchwalała, póki rząd nie wniesie projektu nowej ustawy, którąby normowała wspieranie biednych w ten sposób, aby w części przypadało to na kraj i państwo. Nadto ma Rada zaproponować, aby w projekcie rządowym porobiono pewne zmiany, a mianowicie, aby prawo swojszczyzny ci, którzy opłacają podatki nabywali po latach 10 (projekt rządowy mówi o latach 5), ci zaś, którzy żadnych podatków nie płacą po latach 15 (projekt rządowy mówi o 10 latach) stałego zamieszkania w pewnej gminie. Jeśli komu odpisano podatki z tego powodu, że nie podobna ich było ściągnąć, ten nie może być zaliczony do kategoryi opodatkowanych. Odmiennie od projektu rządowego, który mówi, iż wykluczone są od nabywania prawa swojszczyzny te osoby, które podczas przebywania w jakiejś gminie, były dla niej ciężarem, magistrat wnosi, aby prawa tego były pozbawione te osoby, które się stały ciężarem ofiarności publicznej, t. j. żebracy, nie pobierający wsparcia z funduszów gminnych. Dalej gmina w petycyi ma się domagać opuszczenia z projektu rządowego postanowienia, iż przyjęcia do nowej gminy, może żądać także ta gmina, do której dana osoba dawniej należała. Zdaniem bowiem sekcyi V i referenta postanowienie to jest poniekąd ograniczeniem osobistej wolności, gdyż ktoś może nie chcieć należeć do gminy, w której od lat kilkunastu mieszka, a następnie postanowienie to może stać się przyczyną rozlicznych kłótni między gminami. W końcu żądać ma gmina, aby za nadanie prawa swojszczyzny można było pobierać opłatę i aby prawo swojszczyzny na mocy swego urzędowania nabywali oprócz urzędników państwowych i nauczycieli także urzędnicy gminy i słudzy w gminie stale umieszczeni. P. r. **Markiewicz** poparł powyższe wnioski, poczem Rada uchwaliła wystosować do Rady państwa petycyę w myśl powyższych wniosków przedstawionych przez referenta.

Następnie dr. **Byk** przedstawił sprawę obesłania wiecu burmistrzów miast o własnym statucie; wiec ten ma się odbyć dnia 21 b. m. w Wiedniu; Rada miejska wybrała już na niego delegatów na jednem z poprzednich posiedzeń. Wczoraj obradowano nad tem, jakiej Rada delegatom swym ma udzielić instrukcyi. Owóż polecono im poruszyć przedewszystkiem dwie kwestye: sprawę przekazanego zakresu działania i reformę podatkową. Poruczony zakres działania wkłada na wszystkie gminy wielkie obowiązki, jednak miasta rządzące się własnym statutem, oprócz agend wypływających z poruczonego zakresu działania spełniają jeszcze sprawy, należące do zakresu starostwa. Ostatnie te sprawy we Lwowie stanowią prawie $\frac{4}{5}$ części wszystkich agend, załatwianych z przekazanego zakresu działania. Słusznem przeto jest, aby miasta domagały się za spełnianie tych agend, należących właściwie do starostwa, stosownego wynagrodzenia. Kwestyę tę delegaci lwowscy mają poruszyć na wiecu i mają domagać się dla Lwowa wynagrodzenia po 115.000 zł. za ostatnich lat 5, tyle bowiem wynosiły koszta spraw, należących właściwie do starostwa, a załatwianych przez magistrat lwowski i odpowiedniego ryczałtu na lata przyszłe. Gdyby rząd nie chciał, lub nie był w stanie odszkodowania tego zapłacić w gotówce, wówczas delegaci mają w zamian za to żądać albo zniesienia podatku konsumcyjnego rogatkowego, które opłacają tylko tak zwane miasta zamknięte, albo też aby część tego podatku szła na korzyść miasta. Drugą jest sprawa reformy podatkowej. Osią nowej ustawy podatkowej będzie podatek dochodowo-osobisty, który wolny będzie od dodatków krajowych i gminnych. W zamian za te dodatki przyznaje rząd krajom ryczałtowo corocznie sumę 3 milionów zł. Owóż delegaci lwowscy mają poruszyć na wiecu tę sprawę i podnieść, czyby się nie dało uprosić u rządu, aby tę sumę podwyższył i aby z niej stosunkowo pewne kwoty rozdzielono między większe miasta, których dochody zmniejszą się w skutek tego, że od podatku dochodowego-osobistego nie będą pobierały dodatku gminnego. Nadto mają delegaci poruszyć także sprawę zmiejszenia się dochodów miejskich w skutek przypisania podatku od kolei i propinacyi, a także wiele innych spraw, dotyczących gminy.

R. p. **Jonasz** poruszył myśl bardzo słuszną, a mianowicie wniósł, aby delegaci m. Lwowa omówili na wiecu sprawę aprowizacyi miast i obmyślili jakie środki zaradcze przeciw niesumiennemu wyśrubywowaniu w górę cen artykułów żywności i przeciw wzmagającemu się z każdem dniem ich fałszowaniu. Delegaci mają na wiecu sprawę tę podnieść, przeprowadzić dyskusyę i o wyniku tych obrad Radę uwiadomić.

W głosowaniu uchwalono udzielić delegatom miejskim na wiec instrukcyi w myśl wywodów dra Byka—i przyjęto pierwszą część wniosku p. r. Jonasza. Drugą o fałszowaniu środków żywności odrzucono dlatego, że — jak twierdził referent — sprawę tę dostatecznie załatwia osobna ustawa, wydana przeciw fałszerzom artykułów spożywczych.

Na tem obrady zakończono.

MAŁY FELJETON.

Dwie rasy, dwa światy.

Klemens Junosza (Szaniawski) napisał nową powieść „Synowie pana Marcina“. Junosza mistrz — i to zamiłowany mistrz w kreśleniu postaci żydowskich, nie obszedł się i tu bez sylwetki żyda, równie wybornej, jak wszystkie poprzednie, a przecież zupełnie od nich odmiennej. Obok znalazło się miejsce dla świata chłopskiego, który także należy do specyalności Junoszy. W „Synach pana Marcina“ jest nawet scena, gdzie się zmierzyły ze sobą te dwie rasy, dwa światy i dwie filozofie. Bo w przedstawieniu Junoszy żydzi i chłopi to nie są dwie bezkształtne masy, jedna czarna, druga szara, tłum w rozumieniu Zoli pojęty, ale dwa żywe organizmy, obdarzone odrębnym oryginalnym sposobem rozumowania, które ze strony żydów góruje sprytem, a ze strony chłopów filozofowaniem, pokrywającem lenistwo umysłowe. Scena owa, to rozmowa Mośka i Piotra w drodze na jednym wózku, bo drugi spotkawszy pierwszego, po znajomości przyrzekł go podwieść. Podobną scenę skreślił już raz Junosza dawniej mianowicie w „Icku podwójnym.“ A przecież było to co innego. Tam Icek i Marcin, jadąc razem roztoczyli nawzajem przed sobą całą pełnię niejako życia duchowego, sfer, i ras, które reprezentowali, tu zaś to zestawienie uczynione w formie lżejszej, nadto dwie rasy nie tylko słownie, ale nawet w pewnej drobniuchniej akcyi walczą ze sobą, przyczem naturalnie spryt bierze górę. Czytelnikowi przedstawia autor obraz, jak z lasu, po drodze ku wsi wiodącej, toczy się wóz chłopski, ciągniony przez małego, konika: na wozie obok powożącego chłopa siedzi żyd. Pierwszy apatycznie spogląda przed siebie, drugi kręci się wciąż i niecierpliwi widocznie.

— Słuchajcie no, Piotrze — odzywa się — czy wy nie macie bata, nie możecie poganiać konia?

— A na co?

— Wy się pytacie po co? Co to za gadanie jest... Ja się bardzo śpieszę...

— Może być; ale mnie nie pilno! — odrzekł, ziewając chłop.

— Wam nie pilno! Ja wiem, że wam nigdy nie pilno... Jak wy możecie żyć w takiej rozlazłości, na takiem szlamazarstwie?

— Albo co? goni mnie kto?

— Fe, dalibóg! W waszej głowie nie może się zmieścić taka prosta rzecz, że każdy człowiek ma interesa i że każdy interes, choć nie ma bata w garści i nie krzyczy wio! bardziej jednak człowieka pogania, aniżeli pocztylion konie, gdy z bogatym panem ekstrapocztą jedzie...

— Ja żadnego interesu nie mam, do domu jadę po gospodarsku, bydlęcia nie morduję. Zabrałem was po drodze, bo taka była moja wola. Chcecie siedzieć na furze, to siedźcie, a jeżeli nie, jeżeli wam pilno, to złaźcie i leźcie na piechotę... Mnie tam wszystko jedno.

Żyd nic na to nie odrzekł, wiedział, że upartego chłopa nie przekona. Zapalił fajkę, puścił wodze myślom i zastanawiał się w ogóle nad chłopską naturą, tak bardzo różniącą się od jego nerwowego, gorączkowego niemal temperamentu, chłop zaś o żydowskiej ruchliwości rozmyślał.

— Słuchajcie no, Mośku — odezwał się po chwili.

— Co chcecie?

— Dlaczego wam zawsze tak pilno?

— Co mam się tłómaczyć! Pilno, bo pilno. Są takie interesa, których wy wcale nie rozumiecie.

— O!

— Ja was dobrze znam, wasze pomyślenie ciężkie jest.

— Za to sprawiedliwe...

— Kamień też jest ciężki, ale to nie znaczy, żeby miał być sprawiedliwy; zresztą, jeżeli chcecie to koniecznie, to wam powiem, tylko poganiajcie konia...

— Na co? Ja i bez was wiem.

— Kiedy wiecie, to dlaczego pytacie?

Chłop się rozśmiał.

— Dlatego, że kurczy mi się jadąc i żeby trochę porozmawiać...

— Dziwny wy człowiek, Piotrze...

— Niby na czem dziwny?

— Nie chcecie popędzić konia, popędzacie mój język, żeby gadał...

— Ja za konia dałem sześćdziesiąt rubli na wiosnę, a wy macie język darmo i bez żadnego kosztu... Choć moje pomyślenia ciężkie, ale sprawiedliwe, i ja sobie każdą rzecz dobrze w głowie rozważę i rozmiarkuję.

— Ciekawość, jakie to wasze miarkowanie jest?

— A no, jest. Nam, gospodarzom, nie pilno, bo my robimy koło roli, ona nie szuka się, nie ucieka; żydy zaś robią koło wiatru, to się śpieszą, bo wiatr pędzący jest, dopiero był, już go nie masz. No, Mośku, może nie tak?

Żyd głową pokiwał, machnął ręką i rzekł:

— Słuchajcie no, Piotrze, wyście powiedzieli mądre słowo. Ja się dziwię, skąd ono do waszej głowy przyszło, takie prawdziwe, sprawiedliwe słowo! prawda, na moje sumienie, prawda! My gonimy wiatr, cała nasza robota koło wiatru, nasze dochody, nasze utrzymanie, nasze gospodarstwo, nasz majątek, to jest... wiatr, tyle co dmuchnąć... fur! Kto wam o tem powiedział, Piotrze?

— A no, tak sobie myślałem...

— Śliczneście myśleli! Jak wam się chce jeść, to wasza żona doi krowę, bierze z dołka kartofle, z komory kaszę i okrasę i gotuje dla was jedzenie, prawda?

— Juści, jakżeby inaczej?

— Was głowa nie boli, bo wiecie, że w oborze waszej jest krowa...

— Trzy ogony z łaski Boga.

— Wy wiecie, że w dołku są kartofle, w komorze kasza i mąka... nie macie frasunku o chleb, bo w stodole waszej nie brak żyta, a jak moja żona i moje dzieci chcą jeść, to ja nie pójdę do komory po kaszę, ani po kartofle do dołka, bo nie mam dołka i komory, tylko lecę na rynek, na wieś, do innego miasteczka na jarmark, kręcę się koło folwarków, koło chałup, gonię wiatr... Tak, tak, wyście wielką prawdę powiedzieli, Piotrze! A czy wam się zdaje, że to łatwo wiatr gonić? Czy wy myślicie, że on nie ucieka, że za nim inni żydzi nie pędzą? Oj, oj, jak gonią, jak oni pędzą!... Za jednem dmuchnięciem pędzi trzech, dziesięciu, piętnastu, cała gromada...

— Zawdy — rzekł chłop — wy swoje żydowskie spekulacye macie; nie tak, to owak, a przecie uda wam się coś wyszachrować.

— Żeby nasze wrogi to wychorowali, co nam się uda wyszachrować! Nie jest łatwe życie... Naprzykład teraz, wy myślicie, że ja z wami jadę dla zabawki, czy dla spaceru. Nieprawda, ja gonię wiatr, ale sami widzicie, jakie to głupie gonienie. Wiatr ucieka, ja proszę, żebyście popędzali waszego konia, a wy się wleczecie powoli, jak żyd ze smołą. Takim sposobem nie dogoni wiatru.

— Ha, ha... toście dopiero wykręcili. Którędy to kołował! Przez komorę, przez dołek, a do mego konia przecie trafił! I za cóż ja będę dla was bydlątko siłował?

— Wiecie, że się znam na grzeczności, odsłużę. Dowieźcie mnie tylko do Bud, do karczmy... Mam szynkarzowi kilka słów powiedzieć, a ztamtąd piechotą na folwark polecę. Dziedzic zapewne jest w domu?

— Gdzieżby miał być?

— Chciał wyjechać.

— Nie wiem, ale chyba rzadko kiedy on wyjeżdża...

— Pospieszcie, proszę was.

Chłop machnął biczem... tłusty mierzynek wstrząsnął łbem i pobiegł drobnym truchcikiem, parskając.

— Ładnego macie konia — rzekł Mosiek.

— Ujdzie.

— Nie żałujecie mu owsa widać, — bardzo żwawy jest... Ja myślę, że w całej wsi lepszego konia nie ma...

— Pewnie, że nie ma.

— Chociaż, wiecie wy, Piotrze, co ja myślę?

— A co?

— Ja myślę, że Franka Gąsiora kobyła, ta siwa, choć może na pieniądze tyle nie warta co wasz kasztan, lepiej od niego chodzi...

— Oj, co nie, to nie...

— Mnie się zdaje. Jeden raz tylko jechałem z Frankiem, ale jak... Wierzcie mi, że ptak nie leci prędzej, niż jego szkapa; musiałem się trzymać dobrze drabiny, bo inaczej byłbym spadł z wozu i, broń Boże, popsuł sobie kości. Ślicznie jechał Franek, jak maszyna parowa...

— Nie prawda...

— Mówię wam; możecie mi wierzyć.

— Znam ja jego szkapę, nie równać jej z moim koniem, i żeby Franek nie wiem jak chciał, to mnie nie wyścignie...

— Ale jechał, aj jechał...

— Może tak? — rzekł chłop, szarpiąc lejcami i przynaglając konia do biegu...

— O prędzej, dużo prędzej...

Piotr machnął biczem kilkakrotnie.

— Ja wam pokażę — rzekł — jak on chodzi...

Kasztan szarpnął i pobiegł wyciągniętym kłusem, a gdy Piotr ciągle biczem wymachiwał, wpadł w galop; z powodu suchej jesieni, droga była twarda, wóz turkotał i podskakiwał. Chłop miał minę tryumfującą, a Mosiek śmiał się w duchu, że odnalazł w nim żyłkę próżności i że ją tak dobrze na swoją korzyść wyzyskał.

KRONIKA.

Lwów 14 lutego.

P. Alfred Deyma, dyrektor ruchu kolei państwowych, wyjechał na inspekcyę linii Łupkowskiej i dopiero w niedzielę obejmie znowu urzędowanie.

Mianowania. Wydział krajowy zamianował na sesyi z dnia 11 bm. inżyniera II klasy Stanisława Ogonka inżynierem I klasy, zaś inżynierów adjunktów Józefa Gryzieckiego, Jana Bochniaka, Aleksandra Wierzbickiego i Michała Kornellę tego ostatniego extra statum inżynierami II klasy, nadto asystentów Dyonizego Howartha, Maksymiliana Czernika i Jana Pisza inżynierami adjunktami, a elewów Andrzeja Kornellę i Tadeusza Korasadowicza asystentami, wreszcie Józefa Górskiego elewem w biurze melioracyjnem.

Przeniesienia. Sąd krajowy wyższy w Krakowie przeniósł kancelistę w Mszanie dolnej Jakóba Wasyliszyna do Bochni, kancelistę w Gorlicach Antoniego Pieprzaka do Tarnobrzega i zamianował Wincentego Bernatowicza kancelistą sądu powiatowego w Gorlicach.

Wydział Towarzystwa zachęty przemysłu krajowego ukonstytuował się w ten sposób, że do komitetu wykonawczego wybrał pp. Józefa hr. Łubieńskiego, Arnulfa Nawratila, Augusta Sołtyńskiego i Józefa Wczelaka. Sekretarzem wybrany został p. Juliusz Starkel, skarbnikiem p. Juliusz Schayer; obaj z tego tytułu wchodzą również w skład komitetu wykonawczego. W komitecie brać mają stale udział i wszyscy trzej wiceprezesowie Towarzystwa pp. Zdzisław Marchwicki, Julian Zacharjewicz i Tadeusz Romanowicz. Dotąd przystąpiło do Towarzystwa 153 członków zwyczajnych i 26 członków założycieli.

Konkursa. Rady szkolne okręgowe w Chrzanowie i Husiatynie rozpisały z terminem do 30 marca b. r. konkurs na kilkanaście posad nauczycielskich. — Sąd powiatowy w Skolem poszukuje dwóch dyetaryuszy. — Wydział powiatowy w Kosowie ogłasza z terminem do 4 marca konkurs na posadę lekarza okręgowego w Żabiu z roczną płacą 500 złr. i dodatkiem na podróże w kwocie 400 zł.

Atleta Karol Abs, znany także we Lwowie, z występów w cyrku Sidolego, zachorował w Hamburgu tak ciężko, iż nie ma nadziei utrzymania go przy życiu. Padł ofiarą swego zawodu, nabawił się bowiem cierpienia nerek i wątroby wskutek podnoszenia nadmiernych ciężarów. Zanim odkrył w sobie powołanie „artystyczne“, był zamożnym oberżystą w Hamburgu. Karyera atlety dała mu spory majątek, tak, iż w ostatnich latach Abs posiadał nawet stajnię wyścigową.

Dzieciobójstwo. W okolicach m. Illi, w gubernii wileńskiej, zdarzył się fakt następujący: — Przed dziesięciu laty wyemigrował do Ameryki młody chłopak W., z rodziny włościańskiej pochodzący. Poszczęściło mu się za morzem, dorobił się kapitaliku i zapragnął wrócić do zagrody rodzinnej z myślą ożenku i rozszerzenia gospodarstwa. Ameryka wycywilizowała i wypolerowała chłopca, to też gdy przybył do rodzinnego miejsca, nikt nie mógł poznać dawnego wyrostka w tym silnie rozwiniętym mężczyźnie, w czarnem, porządnem ubraniu, z zegarkiem u kamizelki, o ruchach i mowie „pańskiej“. Na stacyi kolejowej spotkał dawnego sąsiada, który go odwiózł na miejsce, nie poznawszy wcale. Dojeżdżając dopiero do wsi, młodzieniec powiedział kim jest i zwierzył się ze swojej radości z powrotu i z planów na przyszłość.

— Teraz już nie wyjadę — rzekł — zostanę

między wami na zawsze. Dość przez lat 10 natęskniłem się za swoimi.

W chacie nie znalazł rodziców, do których tak tęsknił.

— Jeszcze nie wrócili z kiermaszu, na którym pewnie ojciec się upoi — objaśniła go młoda dziewczyna, w której przybyły poznał siostrę, dzieckiem pozostawioną.

Nie powiedział jej jednak kim jest istotnie, lecz poprosił o jedzenie i począł rozpytywać o szczegóły domowego życia. To, co słyszał, smutkiem go napełniało. Zaledwie dotknąwszy jajecznicy, którą mu siostra podała, wyjął 15 rs., a położywszy przed dziewczyną, rzekł:

— To dla ciebie za kolacyę, a teraz wskaż mi jakiś kącik, gdziebym mógł zasnąć.

Zdumiona dziewczyna zaprowadziła gościa do alkierzyka, gdzie wnet usnął, pytając siebie: czy mnie poznają? i rojąc o lepszej dla ojców przyszłości. Późno w noc wrócili rodzice z kiermaszu, którym wnet córka opowiedziała o gościu i pokazała otrzymane za jajecznicę pieniądze.

— To jakiś bogacz! — mruknął stary, a oczy mu złowrogo błysnęły.

Gdy kobiety twardo zasnęły, podniósł się cicho i ująwszy siekierę wśliznął się do alkierzyka, gdzie zmęczony podróżą syn spał snem sprawiedliwego. Instynkt nie zbudził się w sercu ojca, nie zadrgała mu ręka, gdy śmiertelny cios wymierzył synowi, który nie jęknął nawet. Odarłszy go następnie z pieniędzy i kosztowności, wyciągnął trupa przez okno i ukrył go w słomie w stodole. Poczem okrwawioną siekierę schował za piec i legł spać spokojnie.

Nazajutrz córka zapytała o gościa.

— Już poszedł — mruknął stary — i suto za nocleg zapłacił.

Około południa poczęli się zbierać u drzwi chaty sąsiedzi. Wieść o powrocie W. z Ameryki już się bowiem rozeszła i każdy chciał go powitać i posłuchać ciekawych jego opowiadań.

— Gdzież syn wasz? — sypały się pytania, gdy stary niechętnie drzwi sąsiadom otworzył.

— Jaki syn? — krzyknął, tknięty nagłem przeczuciem.

— A ten, co z Ameryki wrócił, ja go sam przywiozłem wczoraj, gdyście byli na kiermaszu — odezwał się jeden z sąsiadów. Na pana się przerobił, grosz zebrał...

Straszny krzyk przerwał mu mowę. Rzucił się do stodoły, a za nim pospieszyli zdumieni sąsiedzi. Straszny widok przedstawił się ich oczom. Nad okrwawionym trupem ryczał dzieciobójca, przypatrując się ze zgrozą oszpeconej twarzy. Wkrótce rzecz cała się wyjaśniła i władze policyjne aresztowały mordercę. Potworna ta zbrodnia wielką sensacyę wywołała w okolicy, wśród włościan szczególnie.

Rzeź dla złota. Z Australii telegrafują: Kompania poszukiwaczy złota w zachodniej części kraju wysłała siedmiu delegatów do rządu kolonialnego z prośbą o koncesyę na eksploatacyę świeżo znalezionych pokładów tego kruszcu. Delegaci podali, że w odległości stu mil za miasteczkiem Coolgardie, już w okolicy całkiem dzikiej, natrafili na pokład kwarcu 70 stóp wysoki, 20 szeroki, a 250 yardów długi (yard równa się 91 centymetrom), w tym zaś kwarcu raz przy razie ciągną się grube żyły czystego złota. Wykonane naprędce świdrowanie gruntu wykazało, że kruszcu tego znajduje się ogromne mnóstwo w ziemi i że ta kopalnia będzie największa i najobfitsza na świecie. Sprawdzono to doniesienie delegatów i okazało się, że jest ono zupełnie prawdziwe, ale zarazem się dowiedziano, że jakieś pokolenie dzikich autochtonów strzegło tego skarbu, jak świętości, a ta kompania poszukiwaczy złota napadła na owo pokolenie i wyrznęła je co do nogi, nie oszczędziwszy nawet małych dzieci. Więc tych ohydnych morderców, zamiast obdarzyć koncesyą, któraby uczyniła każdego z nich milionerem, wtrącono do więzienia i pójdą oni przed sąd, ale w Sydneyu sądzą, że ponieważ na mocy ustaw krajowych ci zbóje są właścicielami odkrytej kopalni, przeto znajdą dobrych adwokatów i pobłażliwość u sędziów, zwłaszcza, że się tłómaczą, iż dzicy pierwsi ich zaczepili. Ale czyż nie mieli prawa zaczepić? Któż swego nie broni. I czy dzieci także nastawały na życie tych poszukiwaczy złota?

Zamach na listonosza. W Lipsku dwaj niewyśledzeni dotąd zbrodniarze zwabili do swego mieszkania listonosza pieniężnego Breitfelda, i gdy on tam wszedł, rzucili się na niego i usiłowali go obrabować. Między Breitfeldem a oboma zbrodniarzami wywiązała się zacięta walka, z której pierwszy wyszedł zwycięsko, gdyż ani żadnej nie odniósł rany, ani nie dał się obrabować. Zbrodniarze widząc, że zamach ich wskutek oporu listonosza nie powiódł się i bojąc się, aby kto zwabiony krzykiem listonosza nie wszedł do mieszkania, uciekli, zamknąwszy listonosza w pokoju. Wskutek tego nie mógł on ich ścigać, a zanim mu otworzono, zbrodniarze byli już daleko. Policya rozwinęła energiczne śledztwo i podejrzywa, iż jednym ze zbrodniarzy był syn tej pani, w której mieszkaniu zamach ów popełniono.

Sprytnego złodzieja udało się odkryć policyi w Osieku w Kroacyi. Jest nim, żyjący tam handlarz drzewa Iwan Josipow, który, jak się okazało, jest identyczny, ze znanym w całym świecie Jowanem Risticzem, postrachem wszystkich kas i „królem włamywaczy". Policya jest przekonaną, iż to on włamał się do kasy urzędu podatkowego w Diakowarze i że brał udział w rabunku kasy kolejowej na stacyi Pasicz. W Osieku Josipów-Risticz był w bliskich stosunkach z murarzem Pospiszilem, którego poznał w więzieniu w Waitzenie. Mieszkał on w Prodrawinie, dzielnicy Osieku, zamieszkałej przez ubogą ludność, wśród której werbował dla siebie wspólników.

Charakterystycznem jest to, że Josipów żył w wielkiej przyjaźni z sekretarzem dyrekcyi skarbowej Kwaternikiem, który prowadził śledztwo w sprawie okradzenia kasy podatkowej w Diakowarze; o kradzieży tej Josipow często z Kwaternikiem rozmawiał i nieraz wyrażał swoje zdziwienie dlaczego złodzieje nie zabrali z sobą wysokich not państwowych na 1000 złr., lecz pozostawili je w kasie. W domu tym, w którym mieszkał Josipow, mieszkał także pewien komisarz policyjny, z którym również Josipow utrzymywał jak najlepsze stosunki.

Gdy Risticz widział przed kilkunastu dniami, iż policya wpada na jego trop, wyjechał z Osieku. Na kolej wówczas odprowadził go jeden z urzędników dyrekcyi skarbowej, w pięć dni potem otrzymał on list z Lozanny, w którym Risticz opisywał mu swą podróż. Policya osiecka rozesłała na wszystkie strony fotografie Risticza, prosząc władze o schwytanie go i odstawienie do Węgier. Podobne żądanie wystosowano także i do rządu w Szwajcaryi, gdzie zapewne zbrodniarz ów dotąd przebywa.

„Damen Abend". Tak nazywają się rauty urządzane w Wiedniu od szeregu lat w tamtejszym Künstlerhausie. Nazwa wieczoru nie oznacza, ażeby produkcye wykonywane były wyłącznie przez kobiety, lub aby publiczność składała się z samych tylko dam. „*Damen Abend*" znaczy, że na wieczorze obok mężczyzn, mogą być także kobiety, powstała zaś ta nazwa jako antyteza „*Herren Abend*'ów" na które tylko mężczyznom wstęp jest dozwolony. Korespondent jednego z pism krakowskich tak pisze o tych rautach w Künstlerhausie.

Poniedziałkowe wieczory damskie w Künstlerhauzie należą do najmilszych towarzyskich zebrań w Wiedniu. Mają tę wadę, że bardzo trudno na nie dostać się komuś, co nie jest członkiem „Towarzystwa artystów wiedeńskich", ale wada ta znika w chwili, kiedy się otrzymało bilet, weszło na salę i ustępuje miejsca samym zaletom zebrania. Wszystko: lokal, towarzystwo, toalety dam, program wieczoru, wskazuje laikowi, że jest w niezwykłej dlań atmosferze, że jest gościem kapłanów sztuk pięknych. A jednak — przepraszam najmocniej wiedeńskich malarzy, rzeźbiarzy i architektów za to „jednak" — a jednak wszystko wytworne, eleganckie, wykwintne. Proszę sobie wyobrazić salę olbrzymią z przepyszną studnią na środku, salę obwieszoną dokoła „secesyonistyczno-impresyonistycznymi" obrazami, w tej sali setki stolików, przy tych stolikach kobiety (z nich 100 procent pięknych), w ślicznych, nieraz bardzo uderzających i niesłychanie co do kroju i doboru barw nowożytnych strojach balowych; wśród mężczyzn znajdziesz wszystkie wielkie na polu sztuki nazwiska tutejsze, a czasem i obce; na estradzie popisują się pierwszorzędne siły wokalne, wirtuozowie wszelkich instrumentów, pierwsi komicy tutejsi, czasem „humorystyczni" dyletanci i dyletantki, parodyujące Stellę Hohenfels, Wolter i... Yvettę Guilbert.

W tłumie publiczności dojrzysz namiestnika hr. Kielmannsega w ożywionej rozmowie z jakimś młodym malarzem; tam znów burmistrz Grübl „emabluje" pannę Glöckner, która w „Volksteatrze" bardzo licho grywa księżne i siostry Napoleona, a tu właśnie przed chwilą wśród grzmotu oklasków, świetnie śpiewała jakąś francuską piosnkę (jeden z dowodów „inteligentnego" prowadzenia Volksteatru); w kącie antysemicki poseł Pattai, najuprzejmiej przeprasza jakiegoś młodzieńca o silnie oryentalnej fizyognomii, którego przypadkiem potrącił. W ostatnim rzędzie, schowany za damami, siedzi obok jakiegoś jenerała Jan Strauss, którego walczyk będzie dziś śpiewany przez artystkę z Opery nadwornej. Obraz, jak widzicie, pełen życia i *comme de raison* koloru, chciałem powiedzieć lokalnego, ale na szczęście przypomniałem sobie dość wcześnie, że o sali, gdzie wiszą „secesyoniści" byłoby to wyrażenie niewłaściwe. A właśnie w tej chwili „secesyoniści" rozśmieszają salę: komik z „Carltheatru" Wittels, śpiewa kuplety, spopularyzowane przez jego dyrektora Blasla z refrain'em: „*Wann's mi erschlagen, I weiss es nicht*." Treści łatwo się domyślić: Ktoś go pyta, czy obraz przedstawia rzekę, czy staruszkę; na to odpowiada powyższy refrain. Obecny może na sali autor obrazu, śmieje się razem z innymi.

Za chwilę zasuwają na estradzie kurtynę, a po krótkiej pauzie otrzymują widzowie... *divertissiment* baletowe! Niestrudzony Frappart, udowadnia w scenie mimicznej, którą gra z panną Pagliero, że dyrekcya Opery źle czyni, pozbywając go się z końcem lutego. Wiek — Frappart ma lat 62 — nie pozbawił go lekkości i elastyczności, a kolega jego Godlewski, który z cyrku a ansował do baletu Opery nadwornej, nie zastąpi mimika starej szkoły. — Produkcye skończone — kolacya. (Dla wiadomości galicyjskich restauratorów podaję, że *couvert* z trzech potraw kosztuje — w Wiedniu — guldena). Jakiś nieszczęśliwy młody człowiek, który tu dziś jest po raz pierwszy, nie wiedział, że, aby co zjeść, trzeba zamówić stolik: aby więc skrócić sobie czas czekania na opróżnienie się stolików, chwycił kogoś z obecnych malarzy i informuje się *in personalibus*. „Któż jest ta piękna kobieta z główką aniołka, z fryzurą z r. 1830, w sukni tego dziwnego niebieskiego koloru?" — „To żona malarza Goltza. A tam dalej, ta malutka blondynka z trzema centnarami włosów, to jej siostra. Widzisz przy stoliku w kącie te dwie panienki, otoczone rojem młodzieży, śmiejące się tak rozkosznie co za wdzięk, prawda? To córki Kundmanna rzeźbiarza." I tak dalej płynie potok informacyjny. Orkiestra tymczasem zaczyna grać walca, stoliki zwolna się opróżniają, w „sali założycieli" zaczynają się tańce. Kiedy się kończą — nie wiem. Nie doczekałem końca.

To tylko jedna kartka z towarzyskiego życia artystów wiedeńskich. Nie długo w ostatni poniedziałek karnawału — wielki „G'schnas," najpopularniejszy bal w Wiedniu. Tegoroczne hasło balu brzmi: *fin de siècle*. Do tego hasła stosować się mają dekoracye, grupy, kostyumy. Z góry przewidzieć można, że w jednym punkcie zabawa sprzeniewierzy się swemu godłu, będzie u niej z pewnością bardzo wiele tego, czego w naszym końcu wieku tak mało: humoru!

Budowa kaplicy Karpińskiego. Komitej zajmujący się postawieniem w Hołoskowie kaplicy na cześć poety Karpińskiego nadesłał nam dalszy wykaz ofiar, złożonych na ten cel. Ponieważ są to przeważnie pozycye bardzo drobne, bo kilkudziesięciocentowe, wymieniamy tylko najważniejsze wpływy: ze składki urządzonej przez p. majora Mikulego w Suczawie 35 złr., kasa oszczędności w Kołomyi 25 złr., procent zebranego dotąd kapitału lokowanego w kasie oszczędności 31 złr., gmina Gaje Hołoskowieckie 9 złr., p. Łazarz Passakas 5 złr. Cały fundusz wynosi dotąd 2.309 złr. 80 ct.

Spółka stolarska w Sądowej Wiszni. Z miasteczka tego odbieramy następującą korespondencyę: Zmuszeni ostateczną niemal ruiną, spowodowaną niecnem wyzyskiwaniem miejscowych i okolicznych spekulantów, mieniących się fabrykantami, przeważnie innowierców, a co najważniejsze weale nie fachowców, wziąwszy Boga ku pomocy, postanowiliśmy w miasteczku naszem Sądowej Wiszni utworzyć Towarzystwo parkietniczo-stolarskie, które jedynie mieć będzie na celu choć w części podnieść byt materyalny kilkunastu rodzin chrześcijańskich, przez sumienny i doborowy wyrób parkietów różnego rodzaju na posadzki. Bodźcem do tego, była po pierwsze zdobyta jeszcze przez praojców naszych dość dobra opinia, a powtóre to, że wszystkie wyroby niesumiennych spekulantów, poddawane odbiorcom, jako pochodzące z Sądowej Wiszni, były najpodlejszych gatunków tak co do jakości jako i trwałości. Wyroby takie oczywiście nosiły nazwę Sądowowiszeńskich ale zkąd i z jakiej pracowni one wychodziły, nikt tego nigdy nie badał, doszło w końcu do tego, że był czas, iż gdziekolwiek usłyszano o posadzkach z Sądowej Wiszni, nikt na nie najmniejszej uwagi nie zwracał — tem mniej nie miał chęci ich kupować. Okoliczności te w ostatnich czasach wpłynęły tak dalece na niekorzyść naszą moralną i materyalną, że kilkadziesiąt rodzin chrześcijańskich, które wyłącznie tylko tej gałęzi przemysłu się oddawały, zagrożone były zupełną ruiną i musiały emigrować do Rosyi. Ten nasz upadek nie uszedł uwagi tutejszej inteligencyi, która widząc niemal kres już naszego bytu, naprowadziła nas na myśl utworzenia spółki, sama nas pouczyła, poinformowała i doprowadziła do tego, że istotnie zawiązaliśmy dnia 25 stycznia b. r. po odprawionem solennem nabożeństwie w kościółku naszym parafialnym, „Towarzystwo parkietniczo-stolarskie w Sądowej Wiszni" uprosiwszy sobie na naczelnych reprezentantów Towarzystwa naszego: Romana hr. Drohojowskiego właściciela dóbr Sądowa Wisznia, p. Bolesława Śmiałowskiego właściciela dóbr Stojańce, p. Włodzimierza Stronczaka notaryusza miejscowego, przewielebnego księdza proboszcza tutejszego Stanisława Ziembę i innych członków miejscowej i okolicznej inteligencyi. *Michał Minkiewicz, stolarz*

Nowy pierwiastek. O odkryciu przez dwóch znakomitych uczonych angielskich pp. Ramsay i Rayleigh nowego pierwiastka gazowego w atmosferze, nazwanego przez nich „argon" wiedzą czytelnicy nasi z notatki, umieszczonej przed paru miesiącami. Szczegółów na razie podać nie mogliśmy. Dopiero teraz odczyt, miany przez prof. Ramsay przed londyńską „Royal Society", podał rezultaty jego niezmiernie ciekawych badań do ogólnej wiadomości. Historya zaś tych badań zasługuje na tem większą uwagę ze względu na zaszczytną rolę, jaką w nich nauka polska odegrała.

Argon jest, jak wspomnieliśmy, pierwiastkiem gazowym, otóż prof. Ramsay, pragnąc, aby to ciało zostało wszechstronnie zbadane, a mianowicie co do zachowania się w niskich temperaturach i pod ciśnieniem, zwrócił się do największego obecnie specyalisty w tej gałęzi profesora krakowskiego uniwersytetu dra Olszewskiego z prośbą, aby się zajął skropleniem argonu i oznaczeniem jego ilości stałych w niskich temperaturach. Prof. Olszewski — jak pisze *Czas* — zgodził się na to; w celu przeprowadzenia tych badań przysłał mu z Londynu prof. Ramsay pewną ilość nowego gazu, z którym to cennym materyałem nasz uczony wykonał w styczniu szereg doświadczeń, a rezultat ich przedstawił prof. Ramsay wraz ze swoją i lorda Rayleigh'a pracą nad własnościami fizycznemi i chemicznemi argonu, oraz Crookes'a nad widmem argonu, na posiedzeniu „Royal Society" w zeszły czwartek dnia 31 stycznia.

Pozwolimy sobie zacytować opis tego posiedzenia z listu prof. Ramsay'a do prof. Olszewskiego: „Londyn, University College, 1 lutego 1895. Wielce szanowny panie kolego! Wczoraj miałem odczyt o argonie przed „Royal Society", w którym opisałem pracę lorda Rayleigh'a i swoją, Crookesa i Pańskie cenne oznaczenia. Taki był natłok, że zebranie nie miało miejsca w zwykłej sali posiedzeń „Royal Society", lecz w wielkiej sali uniwersytetu londyńskiego, wobec conajmniej tysiąca słuchaczy. Wymienieniu Pańskiego nazwiska towarzyszył wielki *oplaus*; teraz przynajmniej uczona nasza publiczność nie ma żadnej wątpliwości co do Pańskiego pierwszeństwa w pracach około skroplenia gazów t. zw. doskonałych. Pańska praca zostanie osobno wydana, lecz ponieważ się do tego samego przedmiotu odnosi, przeto zacytowałem Pańskie rezultaty w ciągu mego komunikatu. Na ścianie wisiała tablica z uwidocznionymi Pańskimi rezultatami co do skroplenia gazów; widniało na niej również Pańskie nazwisko, nieco trudne do wymówienia dla angielskich ust. Lecz zaniedbałem dotąd swego pierwszego obowiązku: podziękować Panu serdecznie za łaskawy współudział w uzupełnieniu naszego odkrycia. Bez Pańskich oznaczeń byłaby ta rzecz straciła wiele na interesie. Przyjmij Pan w mojem i lorda Rayleigh'a imieniu nasze najszczersze podziękowania. Z serdecznem pozdrowieniem — oddany *Wiliam Ramsay*".

Dla interesujących się tą sprawą, dodamy, że argon ma gęstość w porównaniu z wodorem 20·6, zaś ciężar atomowy dwa razy większy, gdyż drobina argonu zawiera tylko jeden atom; przygotowuje się go, zabierając z powietrza tlen za pomocą miedzi rozżarzonej, a azot za pomocą magnu rozżarzonego, przyczem pozostaje nietknięty argon. Znak jego chemiczny jest A. Dotąd nie udało się utworzyć jakiekolwiek połączenia chemicznego argonu z jakimkolwiek pierwiastkiem; temu też zawdzięcza on swą nazwę (z greckiego znaczy tyle, co „nieczynny").

Hodowla róż w księstwie Luksemburskiem jest dzięki klimatowi miejscowem, który wyjątkowo sprzyja rozwojowi najrozmaitszych gatunków i odmian tego kwiatu, na tak wielką skalę prowadzoną, że w samej tylko okolicy miasta Luksemburga kultura róż zajmuje przestrzeń 90 morgów. Niektóre gatunki są hodowane w oranżeryach. Popyt o róże luksemburskie jest znaczny, dzięki temu uprawa róż stanowi tam jedną z ważnych gałęzi dochodów kraju.

Samobójstwo. W Jarosławiu zastrzelił się 13 b. m. z rewolweru podporucznik 40 pułku piechoty Rudolf Marcelli. Samobójca spędził poprzedni wieczór i część nocy na wesołej zabawie w gronie kilku kolegów, na drugi dzień zaś rano wstawszy z łóżka, napisał list do ojca, który mieszka w Pradze, poczem dwoma nabojami położył kres swemu życiu.

Ofiary. X. Mojżesowicz, katecheta szkoły Ormiańskiej we Lwowie, nadesłał 15 złr. 36 ct., złożone do jego rąk na budowę gimnazyum w Cieszynie. Komitet zajmujący się temi składkami zechce zgłosić się po odbiór tych pieniędzy.

Stan powietrza. T. o 8 rano —5° R. w poł. — 3° R. Bar. 762. Podnosi się. Pogoda.

Rozkoszny obraz życia rodzinnego.

Pan Z. Czy zastałem pana?

Służąca. Nie, pan poszedł na winta.

Pan Z. A pani?

Służąca. Pani pojechała na raut.

Pan Z. A może chociaż z panienką można się zobaczyć?

Służąca. Przepraszam, ale i panienka w tej chwili wyszła ze starszą panią do teatru.

Teatr. Dziś we czwartek „Łucya z Lamermooru", wielka opera w 4 aktach Donizetti'ego, pożegnalny występ Julii Biondelli, oraz występ panów Aleksandra Myszugi, Juliana Jeromimina i Józefa Szymańskiego. W piątek „Madame Sans-Gène".

Literatura i Sztuka.

* **Wilia**, jeden z jasnych dni chłopskiego żywota, napisał dr. Karol Matyas. W broszurce, która wyszła w tych dniach pod powyższym tytułem, skreślił p. Matyas barwnem piórem obrzędy i zwyczaje ludu polskiego przywiązane do dnia wilijnego. Jest to piękny obrazek, usnuty z wierzeń i podań ludu.

* **Nuty.** P. Józef Krysta, wielki miłośnik muzyki, wydał tymi dniami fantazyę p. t. „Czar miłości." Jego kadryle, noszące tytuł „Czwartaki," a osnute na motywach narodowych, bardzo się swego czasu podobały.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 12 lutego.

(Z) Nieraz już zdarzało się, że gdy jakiś długo oczekiwany wypadek nareszcie zaszedł, wówczas spekulanci jakby na dane hasło rzucali się do sprzedaży. Tak też było i dziś. Rok cały czekali spekulanci na emisyę ostatniej partyi austryackiej renty złotej i do tej operacyi różne nadzieje przywiązywali, nareszcie doczekali się jej, lecz nie okazywali bynajmniej radości z tego, przeciwnie pozbywali się akcyi wszystkich instytucyi, należących do grupy Rotszyldowskiej. Ta okoliczność w związku z mdłą tendencyą targów zagranicznych, wywarła dość silny nacisk na kursa, zwłaszcza walorów bankowych. W przemysłowych była również zniżka, sprzedawano je bowiem, ażeby zgarnąć zysk osiągnięty z sobotniej i wczorajszej zwyżki. Jeden tylko papier cieszył się dziś ogromnym popytem t. j. akcye banku austro-węgierskiego, skutkiem wiadomości, że za kilka dni rozpoczną się rokowania rządu z bankiem o przedłużenie jego przywileju. Poszły też akcye jego w górę o 17 złr.

Wielką konsternacyę w grupie finansistów, operujących w losach tureckich, wywołał dziś reskrypt rządowego komisarza giełdy do Izby giełdowej, zabraniający sprzedawania nadziei wygrania na te losy przez wypuszczenie promes. Przytem przypomniał komisarz, że wedle ustawy z przed laty trzydziestu w ogóle nie wolno sprzedawać promes na żadne zagraniczne losy. Dla tej kategoryi finansistów jest to cios dotkliwy, gdyż zarabiała ona wielkie sumy przez wypuszczanie promes na losy tureckie i serbskie. Kurs renty wspólnej poprawił się dziś o 20 ct.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 414·—, węgierskie 501·50, Anglobanki 183·—, Uniony 325·75, Bankvereiny 160·30, Länderbanki 284·75, Ludwiki 219·40, Czerniowieckie 303·—, Elbathale 278·—, Renta papierowa 101·35, srebrna 101·40, austryacka złota 126·35, 4% austr. renta wal. kor. 100·85, węgierska złota 124·65, 4% węgierska renta wal. kor. 99·25, dukat 5·84—, 20-frankówka 9·84½, marki 12·14, ruble 1·33.

Wiedeń 12 lutego. Spirytus 15·70—15·90.

§ **Konkurs.** Komitet galic. towarzystwa gospodarskiego ogłasza konkurs na ośm bezpłatnych miejsc w szkole chmielarskiej w Starem siole. Zgłaszać się należy najpóźniej do 10. marca do komitetu towarzystwa gospodarskiego (Lwów ul. Słowackiego 8).

Telegramy „Przeglądu".

Praga 14 lutego. W sejmie czeskim w toku wczorajszej debaty budżetowej miał namiestnik hr. Thun długą mowę, w której oświadczył, że głównem jego zadaniem jest wzmocnić poczucie austryackie w ludności, które w niej zawsze tkwiło, utrzymywać spokój i porządek i zwalczać wszystkie żywioły, zagrażające pokojowi. Namiestnik nie wątpi, że zapatrywania patryotycznego ludu czeskiego nie mają nic wspólnego z mowami młodoczeskiemi, bo tylko w silnej ze sobą spojonej Austryi leży zbawienie i wielkość Czech zarówno jak i innych prowincyi. Stan wyjątkowy w Pradze zaprowadzono po bardzo dojrzałej rozwadze, jest on konsekwencyą zasad, wygłaszanych w podburzających mowach młodoczeskich, które graniczą wprost ze zdradą stanu. Tak samo jednak, jak zastanawiano się bardzo gruntownie nad wprowadzeniem tego stanu, trzeba także dobrze zastanowić się nad jego zniesieniem, gdyż jest on środkiem ochronnym dla wszystkich miłujących pokój. W dalszym toku udowadniał namiestnik cyframi, jak łagodnie wykonywane są ustawy wyjątkowe i odparł stanowczo zarzut jakoby rząd wywierał jakikolwiek nacisk na stan sędziowski, przyczem oddał najwyższe pochwały temu stanowi tudzież policyi praskiej. Namiestnik przekonany jest o tem, że w łonie stronnictwa młodoczeskiego są także ludzie, którzyby chcieli postawić zaporę najradykalniejszym prądom i szczerze życzy, ażeby wpływ tych ludzi wzrastał. Dopóki Cesarz rozkaże, wytrwa namiestnik na swem stanowisku i zwalczać będzie wszystkie radykalne aspiracye, zmierzające do gwałtownego wywrotu. W końcu oświadczył namiestnik, że ma nadzieję, iż popierać go będą wszyscy, którym dobro kraju leży na sercu i którzy pragną spokoju i porządku.

Mowę namiestnika przyjęto grzmiącymi oklaskami na ławach Niemców, szlachty i Staroczechów. Wielu posłów gratulowało namiestnikowi. Młodoczesi przerywali namiestnikowi ustawicznie jego mowę okrzykami: „Po czesku mówić" i t. p. Kilku młodoczechów musiał marszałek wezwać do porządku.

Po namiestniku przemawiali młodoczech Kramarz i ks. Ferdynand Lobkowicz, który bronił koalicyi i wyraził namiestnikowi bezwarunkowe zaufanie. Na tem zamknięto debatę.

Jeneralny mówca contra Dr. Herold zwalczał wywody namiestnika, zarzucając mu, że swoją mową zerwał ostatnią nić, jaka łączyła go z narodem czeskim.

Jeneralny mówca pro Dr. Scharschmid rzekł, że skoro tylko w narodzie czeskim dojrzeje przekonanie, iż dobrze jest żyć w zgodzie z niemieckimi współbraćmi, wówczas skończona będzie rola dzisiejszych agitatorów młodoczeskich, a będzie z tem dobrze i krajowi i obu narodom zamieszkującym go.

Peszt 14 lutego. Izba magnatów uchwaliła dalsze prowizoryum budżetowe. W toku debaty oświadczyli: przywódzca katolików hr. Ferdynand Zichy, tudzież ks. Maurycy i Mikołaj Esterhazy, że wprawdzie głosować będą za prowizoryum budżetowem, ale mimo to nie mają zaufania do dzisiejszego rządu. Prezes gabinetu Banffy odpowiedział, że rząd nie liczy na zaufanie opozycyi przeciw ustawom kościelno-politycznym, że przeprowadzi je w tym duchu w jakim zostały stworzone i w przepisanym terminie, przyczem jednak starać się będzie uszanować wyznaniowe drażliwości i uspokoić umysły, że wreszcie niezałatwione jeszcze przedłożenia kościelno-polityczne przeprowadzi, nie naruszając zasad, na których się opierają, wszelako nie sprzeciwiając się bezwarunkowo pewnym modyfikacyom, które dadzą się przeprowadzić bez naruszenia tych zasad.

Następnie przyjęła izba magnatów ustawę o kontyngensie rekrutów.

Spalato 14. lutego. Tutejsza rada miejska na wczorajszem nadzwyczajnem posiedzeniu wyraziła swe najżywsze oburzenie i ubolewanie z powodu zbrodni obrazy majestatu, popełnionej w tutejszem gimnazyum; a zarazem w sposób jak najbardziej uroczysty zamanifestowała swe uczucia lojalności i wierności dla domu cesarskiego. Śledztwo w tej sprawie prowadzone jest energicznie. Uwięziono już kilka osób i wyznaczono nagrodę 1000 złr. za wykrycie sprawy tej zbrodni.

Wiedeń 14 lutego. Z Arco nadeszły tu wiadomości, że stan zdrowia arcyksięcia Albrechta budzi poważne obawy.

Kair 14. lutego. Ulubiona odaliska chedywa powiła córkę.

Paryż 14. lutego. Wczoraj odbył się pojedynek na szpady między podporucznikiem Canrobertem, synem zmarłego marszałka Francyi, a posłem Hubbardem. Hubbard otrzymał dość niebezpieczną ranę w piersi. Powodem pojedynku było to, że Hubbard podczas debaty parlamentarnej nad urządzeniem Canrobertowi pogrzebu kosztem państwa w sposób obelżywy wyraził się o tym marszałku.

Mentone 14 lutego. Cesarz spożył wczoraj o godzinie 6ej rano śniadanie, poczem odbył dłuższą przechadzkę. O godzinie 11ej przed południem pojechał Cesarz koleją do sąsiedniej miejscowości Roquebrune, a następnie do uroczego Beaulieu, gdzie spożył drugie śniadanie. Wieczorem powrócił Cesarz na obiad do hotelu.

Czerniowce 14 lutego. Sejm bukowiński zamknięto wczoraj.

Wiedeń 14 lutego. Dzisiejsza *Wiener Zeitung* ogłasza pierwszy urzędowy biuletyn o stanie zdrowia arcyksięcia Albrechta, wydany wczoraj o godzinie 6 wieczorem. Wedle tego biuletynu skonstatowano u arcyksięcia w d. 10 lutego lokalnie zapalenie części płuc, z towarzyszącymi mu łagodnymi symptomatami. Wczoraj rozszerzyło się zapalenie na połowę lewego skrzydła płuc. Gorączka mierna. Puls 80, bije silnie. Czynność serca zupełnie zadowalniająca, a ubytek sił jest nieznaczny.

HOTEL IMPERIAL.
KRZYSZTOF JANOWICZ
Lwów — ul. Trzeciego Maja l. 3.

Przyjechali dnia 13 lutego. O. D. hr. Borkowska z Ponikwy. J. K. br. Hohendorff z Szutrominiec. J. Dembowski z Mościsk. A. Woyczyński z Sudkowiec. O. Bara z Wiednia. H. Jędrzejowiczowa z Jasionki. Z. Wermer z Wiednia. O. Loebenstein z Wiednia. G. Loewy z Wiednia. L. Hanin z Wróblika królewskich. W. Stawiarski z Jedlicz. S. Kaczyński z Wańkowy.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 14 lutego (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 219·50 do 222·50, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 300.— do 303·—, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 450.— do 460.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 101·30 do 102·—, 5 proc. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.— 100·70, Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 100·70 do 101.40, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97·30 do 98·— Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·30 do 99·— 4 proc. los. w 41 i pół latach 97·80 do 98·50, 4 proc. los w 56 lat. 97·50 do 98·20.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 97·80 do 98·50 Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.00 do —.—, Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.00 do 102·70 Pożyczki kraj. 6 proc. 105·50 —·—, 4 pół proc. 100.— do 100.70, 4 proc. z r. 1891 97.80 do 98·50, 4 proc. po —·— koron z roku 1893 98·— do 98·70.

Monety. Dukat cesarski 5·78 do 5.88, Napoleondor 9.79 do 9.89, P. imperyał 10.10 do —.—, Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.28 do 1.33, 100 marek niemieckich 60.50 do 61·—.

Wiedeń 14 lutego (godz. 11 w południ.) Kredyty 415.—, kred. węg. —.—, Anglobanki 183.—, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 285.30, Akcye tyton. 241.—, Staatsbahny 398.65, Lomb. (z kup.) 106.50, Elbethale —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —·—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —·—, Marki 60.75, Losy tureckie —·—.

31)

OSTATNI WYROK

POWIEŚĆ

MAKSWELLA GRAYA.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

A Andrzej, zasunięty w półcień, ani na chwilę nie odrywał od niej oczu.

Tak, to ładny był widok rodziny, takiej zgodnej i kochającej tam, u tego ogniska; ale ta, która z głową obnażoną stała po kolana w śniegu, czuła, że myśli i obrazy zaczynają jej się plątać bezładnie w głowie. Już nie mogła dobrze rozróżnić osób, ani przedmiotów. Ten stary dziadek to nie był przecież Michał Kéronac... za krótko miał ostrzyżone włosy. A ci młodzi mężczyźni... dlaczego przebrali się z pańska? Gdzież podzieli swoje bluzy rybackie i drewniane chodaki? Matka Zuzanna nie miała ani kołowrotka, ani białego, krochmalonego czepca... i jakże się to dzieje, że jej ręce spoczywały bezczynnie podczas kiedy dziecko spało? A mała Andrea... dlaczego czarne jej włoski zmieniły się na takie jasne, pozłociste loczki jak u aniołków na obrazkach? Przecież jej córeczka jedyna nie była jeszcze w niebie, na służbie Bożej? A co za jedne były te dwie młode, urodziwe kobiety? Dlaczego oczy ich błyszczały takiem zaciekawieniem nowości, podczas kiedy Michał Kéronac po raz już setny może opowiadał jedne i te same dzieje?

W tem wszystkiem było coś dziwnego, z czego nie mogła dobrze zdać sobie sprawy.

Uczuła po chwili jakby cały ciężar ciała odpadł od niej; głowa jej była lekką, swobodną, a rozkoszne uczucie obezwładnienia ogarnęło jej członki. Obrazek rodzinny, jaki miała przed oczami, zdawał się oddalać od niej w mglistym jakimś obłoku, to przybliżać znowu. Te światła tam w głębi paliły się na ołtarzu... Był to dzień pierwszej Komunii... piękny, błogi dzień w jej życiu. Organ tam w górze rozbrzmiewał poważnemi tony; głosy śpiewające na chórze wydawały się tak piękne jak głosy aniołów; przed olśnionemi jej oczyma powiewały białe, rozwiane skrzydła serafinów i welony dziewcząt przyklękających parami u stóp wielkiego ołtarza. Ona wyspowiadała się dobrze, szczerze, obmyła duszę swoją u źródeł pokuty świętej, więc teraz czuła się spokojną i szczęśliwą, tak bardzo... bardzo szczęśliwą.

Długie, czarne rzęsy Renaty opuściły się na twarz marmurowo białą i cichą, a kilka płatków śniegu przypruszyło je zlekka. Głębokie, szafirowe oczy nigdy już nie będą patrzeć na nędzę tego życia, na smutną, własną dolę... Skołatane serce spoczęło na wieki...

A tam, przy ognisku, opowiadano sobie dalej dawne dzieje. Stalowy miecz połyskiwał w świetle lampy; zaciekawienie słuchaczy doszło do kulminacyjnego punktu. Tylko babka niekiedy niespokojnie odwracała ku oknu głowę na odgłos szalejącej zawieruchy; tylko dziecko przeciągnęło się czasem w śnie, nabierając coraz to żywszych rumieńców. Kochankowie trwali pogrążeni we wzajemnym zachwycie, a płomieniste oczy mężczyzny nie przestawały tonąć łagodnie w rozpłomienionych źrenicach pięknej dziewczyny.

Ogień trzaskał na kominku, snopami iskier strzelając w górę, a śnieg padał i padał nieprzerwanie, już nie marznąc w powietrzu w ostre lodowe sople, ale cicho, spokojnie, w dużych pierzastych płatkach, spowijając troskliwie w białe puchy zsiniałą twarz Renaty i zamknięte jej oczy, jakby ją chciał ustrzedz od przebudzenia z tego snu bez marzeń, w którym ukołysały się wszystkie jej troski, ból i ziemskie nadzieje.

Płatek za płatkiem słał się cicho, aż w weselną biel ustroił całą sztywną postać posągowo piękną w swojej nieruchomości, aż długie, czarne, rozplecione włosy przesłonił dziewiczą zasłoną i przed zbolałemi oczyma zakrył serdeczny obraz niedostępnego nigdy dla niej rodzinnego szczęścia. Otulona w królewski, gronostajowy płaszcz śnieżnej białości, Renata spała snem spokojnym, snem bez przebudzenia.

Wieczorne posiedzenie przy kominku zostało zakończone, pogasły światła i ostatni promień jasności padający ukośnie z rodzinnego ogniska na świeżą mogiłę wydziedziczonej, rozpłynął się w mrokach. Jeszcze jakiś czas wesołe śmiechy dziecięce i głosy zgodnym chorałem śpiewając kolędy rozbrzmiewały z wnętrza zamkniętego pałacu, potem wszystko ucichło, głęboki spokój zapanował nad światem. Wicher, wyczerpawszy swą siłę, lekkim podmuchem tylko poruszał konary sosen stojące w ciemności jak zakrzepłe olbrzymy, a chmury cicho przepływały po niebie, na którem zapalały się blade gwiazdy, przeglądając się brylantowo w białych obszarach milczących pól rozesłanych szeroko.

Godzina upływała za godziną. Naraz głucha cisza rozbrzmiała weselnym odgłosem dzwonów, zwiastującą światu wieść radosną. Dźwięki rozkołysanego spiżu płynęły po polach i lasach wstrząsające, radośne, ale nie pobudziły już życiowego tętna w zakrzepłem sercu Renaty, która wsparta o sosnę pod wysoko usypaną mogiłą ze śniegu, stała wciąż wyczekująca, szklistemi oczyma zapatrzona w to miejce, gdzie mąż jej tulił do piersi kochankę.

ROZDZIAŁ IX.

Pogodny, świąteczny poranek zajaśniał nad ziemią.

Dwaj braciszkowie Gracyi, zbudzeni biciem dzwonów, zerwali się z łóżek o świcie i ścierając szronowe arabeski z szyb wpatrywali się z okrzykami zachwytu w cudowne panoramy, roztaczające się przed ich oczami w różowych blaskach jutrzenki.

Wpadli najpierw rozochoceni do pokoju Andrzeja, który przyjął ich niezbyt gościnnie, potem do Dicka, który ich przepędził, w końcu do Gracyi, która ich ucałowała serdecznie przypominając o pacierzu. Nawpół jeszcze senna wysłuchała ich hałaśliwego opowiadania o dziwach, jakie śnieżyca powyprawiała w parku, o rozpaczy służby, która nie mogła przekopać się przez śnieg do oficyn i stajni, o zamarzłych kurkach od wodociągów, wreszcie o skarbach, jakie znaleźli pod swemi poduszkami. Od Gracyi poskoczyli wprost do dziecinnego pokoju, zkąd ich sromotnie wyrzucono za drzwi, i tak przebiegli cały dom od strychu do suteren, śmiejąc się, swawoląc, życząc wszystkim wesołych świąt, całując dziewczęta pod gałązką jemioły, przeszkadzając służbie w daremnych zabiegach utorowania sobie jakiegoś możliwego przejścia przez dziedziniec, napełniając cały dom gwarem swego rozradowania, jak dwa figlarne chochliki, którym nikt sprzeciwiać się nie myślał, a zwłaszcza w taki dzień, w święto dzieci.

Gdy Andrzej blady i przygnębiony zeszedł na dół, ujrzał Gracyę świeżą jak pogodna jutrzenka, stojącą wśród braci w oknie, z którego wczoraj światło padało na ogród.

— Jak to dobrze, żeś wrócił wczoraj, Andrzeju — rzekła. — Dziś drogi muszą być nie do przebycia. Musiałeś mieć przykrą podróż. To też wydajesz się dziś bardzo znużonym — dodała ze współczuciem.

— To nic — odparł, tłumiąc westchnienie. — Widok tych śnieżnych przestworzy przygnębiająco oddziaływa na każdego, z wyjątkiem dzieci.

— A ja lubię ten widok. Nie przejmuje on mnie smutkiem, tylko uczuciem powagi i poszanowania, jakby dla czegoś wielkiego i czystego...

Lady Zuzanna wchodząc w tej chwili, poparła, jak zwykle, zdanie swego faworyta.

— Tak — odezwała się — zimno jest synonimem cierpienia i dlatego smutne sprawia wrażenie. Ręczę, że posłyszymy o owcach i innych zwierzętach, zasypanych w tę zawieję. A biedne ptaszki... ileż ich musiało życiem przepłacić tę noc. Ale jakież dziwne kształty poprzybierały te zaspy!

— Zwłaszcza ta pod sosną — dorzuciła Gracya. — Ma kształty jakiegoś posągu, który pod ręką rzeźbiarza zaczyna wyłaniać się z marmuru.

Wszyscy byli tego samego zdania, a chłopcy, tańcząc dokoła stołu, zaczęli się sprzeczać czy to był posąg mężczyzny, czy kobiety? Ale nikomu nie przeszło przez głowę, jaką tragiczną tajemnicę pokrywa ten pagórek ze śniegu. Kapryśna zawieja, która stronami potworzyła olbrzymie zaspy, umiotła o tyle gościniec, że gdy spóźniony listonosz zjawił się po śniadaniu i oznajmił, że droga jest możliwą do przebycia, cała rodzina, wysławszy naprzód chłopców z szufelkami do odgarniania śniegu, ruszyła do kościoła na nabożeństwo.

Dzwony rozbrzmiewały w porannem słońcu, które odbijało się w lodowych soplach drzewa w bieli odcinające się na przeczystym lazurze nieba wyglądały majestatycznie cały krajobraz przedstawiał się uroczo. Pogodna, orzeźwiająca atmosfera zimowego, świątecznego dnia zdawała się radość wlewać we wszystkie serca. Nawet Andrzej rozchmurzył posępne swoje lica, przechodząc mimo pagórka pod sosną.

— Górna część jest lepiej wykończona — zauważyła Gracya. — Ciekawa jestem, czy artyści także zaczynają modelować posągi od głowy.

Sukinia jej futerkiem obszyta otarła się o zaspę, a dzieci swawoląc i śmiejąc się okrążyły ją dokoła. Jenerał dotknął ją laską z brzegu

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego, Zarządca W. Hodak.